

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Najnowsza premiera w Teatrze Wybrzeże przenosi nas w inną epokę

● „Memling, czyli historia końca świata” wg scenariusza, w reżyserii i scenografii Agaty Dudy-Gracz

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki



Piątek
3.10.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 230 (24 591) // Rok 80
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Magazyn Puls

Bartłomiej Topa,
czyli szlachcic
Adamczewski,
mówi dlaczego Polacy
go lubią **str. 22-23**

ZDROWIE

**Sztuczna inteligencja
to nie jest zagrożenie**

AI zastąpi radiologów, ale tylko tzw.
opisywaczy - tłumaczy dr n. med. Jo-
anna Niemunis-Sawicka.
Czytaj str. 10-11

FELIETON NA FALI

**Mit Izraela rozsypał
się w pył**

Co złego stało się z państwem Izrael?
To pytanie zadają dziś sobie ludzie
na całym świecie...
Czytaj str. 2

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



Cel: odblokować Nogat



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

W zasięgu ręki jest pasażerska i towarowa żegluga do Malborka, i nie tylko
– mówi o przywróceniu dla statków rzeki Nogat Zbigniew Ptak, pełnomocnik marszałka
ds. rozwoju gospodarczego dróg wodnych województwa pomorskiego **str. 4-5**

REKLAMA

0011388542

DO ZGŁOSZEŃ GOTOWI START!

Zawalcz o obiekt sportowy
lub kulturalny w Twojej okolicy!

ZGŁOŚ NA WWW.GDYGRASZ.PL

LOTTO
Gdy grasz,
wszystko gra!

18+



Największy mecenas sportu i kultury



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Co złego stało się z państwem Izrael? To pytanie zadają dziś sobie ludzie na całym świecie. Historia Izraela jest powszechnie znana, więc przypomnę tylko, że to państwo, które powstało po II wojnie, po makabrze holokautu, było wymarzoną miejscem całego narodu żydowskiego. Jeszcze przed wojną, twórcy ruchu syjonistycznego mówili o nim jako o ziemi obiecanej – miejscu, gdzie naród tak boleśnie prześladowany przez wieki, wreszcie znajdzie schronienie.

Dziesiątki pokoleń Żydów, przepędzanych po całej Europie, maltretowanych pogromami, marzyły o tym państwie i snuły jego idealistyczne wizje. Po Szoah, ta narracja stała się jeszcze mocniejsza: oto Izrael – państwo, które powstaje z popiołów, które ma być bastionem demokracji, wolności i równości w świecie pełnym dyktatur i fanatyzmu.

Po II wojnie cały demokratyczny świat patrzył na Izrael z podziwem i sympatią. Naród tak straszliwie doświadczony buduje swoje państwo i nową tożsamość, osiąga sukcesy gospodarcze, choć musi bronić się przed wrogami otaczającymi je ze wszystkich stron. Taka narracja budowała to państwo przez ostatnie dziesięciolecia i niosła się po całym świecie, dzięki rozkwitowi izraelskiej kultury. Podziw budzili też jego przywódcy – twórca państwowości David Ben Gurion, Golda Meir czy Szimon Peres, nagrodzony pokojową Nagrodą Nobla za zawarcie porozumienia pokojowego z Jasiem Arafatem, przywódcą Palestyńczyków.



FOT. PAP/EP/PA

FELIETON
NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”

MIT IZRAELA
ROZSYPAŁ SIĘ
W PYŁ

Izraelczykom udało się zbudować piękny mit swojego państwa i demokracji, mit, który dziś pęka na naszych oczach. To co Izraelowi udało się zbudować przez ostatnie 80 lat, jego obecny rząd Benjamina Natanjahu

zniszczył niczym Gazę, w dwa lata.

Bo czym jest demokracja, jeśli blokuje się konwój humanitarny? Czym jest „państwo prawa”, które dokonuje ludobójstwa w Strefie Gazy, równa to miasto z ziemią,

morduje tysiące dzieci i w świetle kamer odmawia wody i chleba cywilom? Czym jest „wyspa wolności”, jeśli traktuje aktywistkę klimatyczną Gretę Thunberg, polskiego posła Franciszka Sterczewskiego i innych aktywistów płynących we Flotylli dla Gazy, jak zagrożenie?

Izrael przez lata był mistrzem narracji. Umiał sprzedawać światu swoją historię – o odwadze, cierpieniu i konieczności obrony. Ale dziś ten mit staje się groteską. Bo kiedy zatrzymuje się transport bandażu, trudno jeszcze mówić o heroizmie. To już nie jest obrona granic. To jest obrona przed własnym sumieniem.

Ile można jeszcze grać kartą „bezpieczeństwa”? Ile razy powtarzać, że bandaż może być bronią, a bochenek chleba zagrożeniem? Izrael w tym momencie traci coś znacznie cenniejszego niż dobre relacje dyplomatyczne – traci moralny mandat. Bo czym jest demokracja, która nie dopuszcza wody dla dzieci? Świat widzi coraz wyraźniej, że król jest nagi. Że mit, budowany przez dekady, rozsypuje się w pył. A kiedy pęka mit, pęka także autorytet. Bo historia – ta prawdziwa – zawsze rozlicza cynizm szybciej, niż wydaje się tym, którzy uwierzyli, że są ponad moralnością.

Wiem, że w Izraelu są miliony osób, które krytykują rząd Natanjahu, które chciałyby zakończyć tę straszną wojnę. One też tworzą państwo Izrael i wierzę, że kiedyś przejmą władzę w swoim kraju. Odbudowanie dawnego mitu, będzie już jednak niemożliwe.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

12°C
4°C

Wiatr pld.-wsch.
9 km/h

Uwaga
Częściowo
słonecznie

Sobota

12°C
7°C

Wiatr pld.
30 km/h

Uwaga
Przelotne
opady

Niedziela

13°C
8°C

Wiatr zach.
26 km/h

Uwaga
Zachmurzenie
duże

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt wi-
dać na fotografii?

Tym razem z powietrza
uchwycony został obiekt,
którego próżno szukać na ląd-
owej mapie Pomorza.

Zagadka nie jest łatwa, ale
jesteśmy przekonani, że zo-
stanie rozwiązana przez na-
szych Czytelników.

Tradycyjnie, rozwiązanie
zagadki będzie można zna-
leźć w weekend na naszej
stronie internetowej dzien-
nikbaltycki.pl oraz na redak-
cyjnym Facebooku.
(AT)

KURSY WALUT

2.10.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48,
Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego,
Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	423/430 (+)	GBP	486/493 (+)
USD	360/367 (-)	CHF	451/458 (-)
GBP	486/493 (+)		
CHF	451/458 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	423/430 (+)
USD	360/367 (-)
GBP	486/493 (+)
CHF	451/458 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania
poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku
do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY
„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń
„Dziennika Bałtyckiego”
i czekam na Państwa listy
pod adresem:
maciej.krajewski@polskapress.pl

Maciej
Krajewski



POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

WARSZAWA

Projekt dotyczący likwidacji CBA wkrótce trafi do Sejmu

- Po poprawieniu dat i szczegółów dotyczących legislacji projekt dotyczący likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego w najbliższych tygodniach zostanie skierowany do parlamentu - zapowiedział w czwartek minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak. Zgodnie z pierwotnym założeniem CBA miało zostać zlikwidowane 1 lipca 2025 r. Siemoniak zapytany w czwartek w TVP Info o pro-

jekt dotyczący likwidacji CBA przekazał, że po poprawieniu dat i szczegółów dotyczących legislacji projekt ten zostanie skierowany do parlamentu. Dodał, że decyzję tę poparło Kolegium do Spraw Służb Specjalnych. Przyznał jednocześnie, że prezydent „z łaźnią” zawetuje tę ustawę. Zapytany o datę likwidacji CBA, minister powiedział, że będzie to decyzja Rady Ministrów. Oprac. Anna Nagel | PAP

WARSZAWA

Startuje Konkurs Chopinowski



FOT. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

Dzisiaj rozpoczynają się przesłuchania w ramach XIX Konkursu Chopinowskiego. W konkursie bierze udział 84 pianistów z całego świata, w tym trzynastu Polaków. Zwycięzcę poznamy 20 października, a dzień później odbędzie się gala wręczenia nagród i pierwszy koncert laureatów. | TD

WARSZAWA

Nawrocki pozytywnie oceniany

51,6 procent badanych pozytywnie oceniło działalność prezydenta Karola Nawrockiego - wynika z opublikowanego w czwartek sondażu IBRiS dla „Onetu”. Negatywnie działalność prezydenta oceniło zaś 38 proc. respondentów. Na pytanie o ocenę działalności prezydenta, odpowiedź „zdecydowanie dobrze” wska-

zało 38 procent ankietowanych, zaś na „raczej dobrze” - 13,6 procent. Jeśli chodzi o oceny negatywne, to 23,3 procent ankietowanych wskazało na odpowiedź „zdecydowanie źle”, a 14,7 proc. na „raczej źle”. Pozostali respondenci (10,4 proc.) wskazali na odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć”. Oprac. Anna Nagel | PAP

KOPENHAGA

- Polska będzie nadal korzystać z kontroli na granicy z Niemcami po to, by nie wrócił mechanizm przesyłania nam przez zachodniego sąsiada nielegalnych migrantów - zaznaczył przebywający w czwartek w Kopenhadze premier Donald Tusk. Jak ocenił, „przepychanka na granicy” została już w zasadzie wyeliminowana. Kontrole na granicy z Niemcami i Litwą zostaną przedłużone do 4 kwietnia 2026 r. | PAP

Polacy zatrzymani przez Izrael. Wśród nich jest poseł KO

Oprac. Karolina Wrońska
Jerozolima

Rzecznik MSZ Maciej Wewiór przekazał, że polscy obywatele zatrzymani na statkach z pomocą humanitarną dla Strefy Gazy są bezpieczni. Zostaną oni deportowani do kraju.

W nocy ze środy na czwartek, gdy międzynarodowa flotylla Sumud (Global Sumud Flotilla, GSF) podpłynęła na mniej niż 80 mil morskich (ok. 148 km) do blokowanej Strefy Gazy, marynarka wojenna Izraela zbliżyła się do jednostek, a następnie przejęła część z nich.

„Monitorujemy sytuację związaną z zatrzymaniem statków GSF. Wśród nich jednostki z polskimi obywatelami - według naszych informacji są oni bezpieczni i nikt nie ucierpiał” - przekazało na X MSZ. Ponadto rzecznik MSZ przekazał PAP w czwartek rano, że konsul RP jest już w Aszdod, dokąd przewożeni są zatrzymani. Zapewnił, że żaden polski obywatel nie pozostanie bez opieki.

Pytany, czy zatrzymani polscy obywatele zostaną deportowani, a także o dalsze planowane działania resortu, czy też polskich dyplomatów, Wewiór zaznaczył, że obecnie trwają prace zespołu, który zajmuje się sytuacją. Zapowiedział, że MSZ będzie udzielało informacji na bieżąco.

W czwartek rano organizatorzy flotylli Sumud poinformowali, że wszystkie statki, którymi płynęli członkowie polskiej delegacji, zostały zatrzymane przez siły izraelskie. W polskiej delegacji są: poseł Franciszek Sterczewski (KO), prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków Polskich Omar Faris, prezeska Stowarzyszenia Nomada Nina Ptak oraz dziennikarka i aktywistka Ewa Jasiewicz, autorka książki „Podpalic Gazę”. Według informacji z rana, do Gazy zmierza dalej 29 jednostek, którym udało się uniknąć przechwylenia.

Wcześniej wicemarszałek Senatu Magdalena Bieja (Lewica) przekazała na platformie X o zatrzymaniu przez Izrael statków z GSF i polskich obywateli Franciszka Sterczewskiego i Omara

”

Kontrole na granicy z Niemcami zostały przedłużone, by nie wrócił mechanizm przesyłania do Polski migrantów

Donald Tusk premier RP



FOT. L. CORREA/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Wszystkie statki flotylli Sumud zostały ostatecznie zatrzymane przez izraelską marynarkę wojenną

Farisa. „Razem z (posłanką) Daria Gosek-Popiołek i (byłym wiceszefem MSZ) Andrzejem Szejną jesteśmy w kontakcie z Flotyllą. Domagamy się od MSZ natychmiastowych działań w sprawie naszych obywateli” - napisała wówczas Bieja.

Organizatorzy wyprawy Global Movement to Gaza Poland umieścili na platformie X nagrania przedstawiające przechwytywanie jednostek flotylli przez izraelską armię. „Część z kilku-

dziesięciu łodzi składających się na Sumud straciła w środę w nocy łączność” - napisano w sieci. Aktywiści dodali, że żołnierze izraelscy weszli na pokłady kilku jednostek.

Władze Izraela już wcześniej zapowiadały, że nie pozwolą flotylli zbliżyć się do Gazy.

Flotylla Sumud jest międzynarodową inicjatywą, w której uczestniczą przedstawiciele ponad 40 krajów. Według najnowszej informacji MSZ Izraela, załoganci przejętych przez marynarkę wojenną tego państwa statków flotylli humanitarnej do Strefy Gazy są w drodze do Izraela, skąd zostaną deportowani do Europy. Dodano, że zatrzymani są zdrowi i bezpieczni.

„Z każdą milą jesteśmy bliżej Gazy - dzieli nas od niej mniej więcej tyle, co Warszawę od Częstochowy. Wpływamy w wody, gdzie poprzednie Flotylle były zatrzymywane i atakowane. Płyniemy dalej - niewzruszeni groźbami i szantażem. Wszystkie oczy na Flotyllę! Wszystkie oczy na Gazę!” - pisał Sterczewski w środę wieczorem na platformie X. PAP

Dżihadyści w Sahelu bestialsko mordują chrześcijan

Oprac. Karolina Wrońska
Niamey

Powiązani z Al-Kaidą i ISIS islamistyczni rebelianci w Sahelu odnoszą kolejne sukcesy, zajmując nowe obszary, skutecznie walcząc z rządowymi wojskami i terroryzując ludność cywilną.

Ryan Brown, dyrektor generalny organizacji Open Doors US, przedstawił ponury obraz przemocy dżihadystów w regionie Sahelu, mówiąc, że grupy islamistyczne stworzyły „regionalny korytarz przemocy” wymierzony w mniejszości religijne. Brown skomentował tak doniesienia o ataku dżihadystów na chrześcijan w Nigrze, w którym zamordowano 22 cywilów.

- Fakt, że celem ataku była ceremonia chrztu pokazuje, że nie są to przypadkowe akty przemocy, ale przemyślane próby

wyeliminowania chrześcijan z regionu - mówi szef organizacji pomagającej prześladowanym chrześcijanom na całym świecie.

Lokalne media donoszą, że w połowie września uzbrojeni mężczyźni na motocyklach wtargnęli do regionu Tillaberi na południowym zachodzie Nigru i otworzyli ogień do uczestników ceremonii chrztu. Według doniesień, zabili oni na miejscu 15 osób, a następnie dokonali brutalnej egzekucji kolejnych siedmiu osób. Atak nastąpił zaledwie tydzień po tym, jak dżihadyści zabili około 27 nigeryjskich żołnierzy w tej samej okolicy.

- Po raz kolejny region Tillaberi... został dotknięty barbarzyństwem, pogrążając niewinne rodziny w żałobie i rozpacz - napisał w mediach społecznościowych Maikoul Zodi, działacz na rzecz praw człowieka



FOT. AFP/EAST NEWS

Dżihadyści w walce juntami rządzącymi Nigrem, Mali i Burkina Faso w ostatnich latach zdobyli znaczne terytoria i wpływy, terroryzując lokalną ludność

z Nigru. Tillaberi to niestabilny obszar graniczący z Burkina Faso i Mali, gdzie działają grupy dżihadystów powiązane z Al-Kaidą i Państwem Islamskim.

Human Rights Watch informuje, że od marca zginęło tam co najmniej 127 mieszkańców, a ich domy zostały zrównane z ziemią. Organizacja praw człowieka oskarżyła rząd Nigru o brak działania nawet w obliczu ostrzeżeń o zbliżających się atakach. Od października 2024 r. w atakach w Nigrze zginęło około 1800 osób, z czego trzy czwarte właśnie w Tillaberi. Re-

gion ten leży w „trójkącie dżihadu”, na pograniczu Nigru, Mali i Burkina Faso, gdzie islamscy z JNIM (filia Al-Kaidy) i ISSP (filia Państwa Islamskiego) są najbardziej aktywni.

Brown podkreśla, że grupy dążą do wyeliminowania różnorodności religijnej poprzez strach i przemoc.

- W Burkina Faso ekstremiści zniszczyli setki kościołów i zmusili całe społeczności chrześcijańskie do ucieczki. W Mali doszło do podobnych zniszczeń kościołów i porwań misjonarzy - mówi. PAP

TURYSTYKA

Zabytek na torach, czyli Żuławska Kolej Wąskotorowa.

W 1998 r. kolej wąskotorowa na Żuławach została dosłownie zrównana z ziemią. To, co dzisiaj funkcjonuje, zostało zbudowane od podstaw, co bez wątpienia wymaga docenienia – mówi Przemysław Strzyżewski z Pomorskiego Towarzystwa Miłośników Kolei Żelaznych. Dziś i jutro Żuławska Kolej Dojazdowa obchodzi ważny jubileusz **STR. 6**



FOT. PTMKZ

TEATR

Dokąd pędzą konie Apokalipsy?

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwana jest premiera Teatru Wybrzeże „Memling, czyli historia końca świata” – wg scenariusza, w reżyserii Agaty Dudy-Graczy **STR. 8-9**

RZKA JEST WIELKA I CZEKA NA STATKI, ALE JEST JEDNA PRZESZKODA...

Przekop mierzei nie został zbudowany jedynie dla Elbląga. W zasięgu ręki jest pasażerska i towarowa żegluga do Malborka, i nie tylko. To są realne możliwości – mówi o przywróceniu dla statków rzeki Nogat, jednej z największych na Pomorzu, Zbigniew Ptak, pełnomocnik marszałka ds. rozwoju gospodarczego dróg wodnych województwa pomorskiego. – Żeglowny Nogat to jest jeden z istotnych elementów dla rozwoju żuławskich powiatów – dodaje Piotr Szwedowski, starosta malborski

Tomasz Chudzyński, Radosław Konczyński

Nogat, rzeka przecinająca Żuławę od południa, na Pomorzu szerokością ustępuje tylko Wiśle. Średnio jej brzegi dzieli sto metrów, a miejscami to odległość od 40 do nawet 200 metrów. Łączy Zalew Wiślany z Wisłą. To nad Nogatem położony jest Malbork, z jedną z największych atrakcji turystycznych świata, zamkiem – dawną siedzibą Wielkich Mistrzów Zakonu Krzyżackiego. Malbork ma też port rzeczny, dziś zaniedbany, ale z potencjałem. Rozwój Nogatu to też szansa dla innych gmin, które leżą nad tą rzeką, choćby w powiatach nowodworskim i elbląskim.

– Ta rzeka ma ogromny potencjał. Trzeba po niego sięgnąć, a nie jest to bardzo skomplikowana kwestia – mówi Zbigniew Ptak, pełnomocnik marszałka ds. rozwoju gospodarczego dróg wodnych województwa pomorskiego.

Jedna przeszkoda. W małych Kępkach

Nogat jest piękny, to oaza ptactwa, roślinności, krajobrazowo prawdziwa perła tej części Pomorza. Ale żegluga śródlądowa na Nogacie, między Białą Górą a Zalewem Wiślanym, nie licząc mniejszych jednostek, praktycznie zamarła. Tak jest niemal od dwudziestu lat. Głównym, i jak utrzymują samorządowcy z powiatu malborskiego i elblą-

skiego właściwie jedynym, problemem jest zbyt niski most w miejscowości Kępki w powiecie nowodworskim.

– Zdefiniowaliśmy sytuację rzeki Nogat, która przestała pełnić swoją rolę, a ma wielki potencjał gospodarczy, turystyczny, przyrodniczy, poznawczy, widokowy, rekreacyjny. Są tu bariery fizyczne, a główną, znaczącą barierą jest most w Kępkach. Zamyka w dużym

zakresie możliwość funkcjonowania żeglugi turystycznej, statków pasażerskich białej floty, a także żaglówek w pewnym zakresie – mówi Piotr Szwedowski, starosta malborski.

Most w miejscowości Kępki, w gminie Nowy Dwór Gdański, w powiecie nowodworskim powstał w 2006 r., w miejscu dawnej, zlikwidowanej przeprawy promowej.

– Ten most jest obecnie najniższym mostem na całej długości rzeki. Jego prześwit pionowy wynosi około 3,95 m przy średnich stanach wody i jedynie 3,30 m przy stanach wysokich, a szerokość światła żeglownego to około 35 metrów. Takie parametry w praktyce uniemożliwiają swobodną żeglugę jednostek pasażerskich i towarowych, czyniąc z mostu zasadniczą barierę nawigacyjną

na Nogacie – wyjaśniał podczas spotkania roboczego Zbigniew Ptak.

Sprawa mostu blokującego żeglugę jest znana od lat. Już w lipcu 2006 roku interpelację poselską składał poseł Stanisław Gorczyca.

„Początkowo miał to być most tymczasowy, zbudowany na potrzeby modernizacji drogi krajowej E7 (Warszawa-Gdańsk). Jednak dochodzą

do mnie informacje, że budowa ma charakter stały i ma stanowić element dodatkowego układu komunikacyjnego, przede wszystkim usprawniającego dojazd do miejscowości wypoczynkowych na mierzei. Bez wątpienia jest to ważne zadanie, ale budzi niepokój, gdyż most tak zbudowany ogranicza walory żeglugowe rzeki Nogat. Jest bowiem mostem o niższym prześwicie od już funkcjonujących mostów na Nogacie” – pisał prawie 20 lat temu poseł Gorczyca.

Przypomniał wtedy kuriozalną sytuację.

„Jeszcze przed oficjalnym oddaniem mostu do użytku doszło do sytuacji, w której statek płynący z Elbląga do Malborka dopłynął wprawdzie do celu, ale wrócić pod mostem już nie mógł. Rzeka Nogat jest bowiem bardzo czuła na tzw. cofkę, czyli wody pchane północno-wschodnim wiatrem z Zalewu Wiślanego. Dopiero decyzja o podtopieniu statku przez wpompowanie wody do kadłuba pozwoliła statkowi przepłynąć pod mostem. Ta sytuacja dowodzi, że zbudowany most powoduje rzeczywiste problemy w korzystaniu z rzeki Nogat” – argumentował poseł.

– Doszło do tego, że Elbląg musiał sprzedać statek pasażerski, który miał kursować między Elblągiem a Malborkiem – podkreśla Jerzy Wcisła, senator KO, przewodniczący parlamen-



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Problem z dostępem Nogatu dla statków spowodowany jest zbyt niskim mostem w Kępkach



FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

To nad Nogatem położony jest Malbork, z jedną z największych atrakcji turystycznych świata, zamkiem – dawną siedzibą Wielkich Mistrzów Zakonu Krzyżackiego

tarnego zespołu ds. rozwoju dróg wodnych.

O co idzie gra?

Nogat służył wiele lat jako droga transportu towarów, np. opału. Barki kursowały między portem rzeczny w Malborku a Wisłą.

– Przekop mierzei nie został zbudowany tylko dla Elbląga – wskazuje na możliwość gospodarczego wykorzystania Nogatu Zbigniew Ptak. – Droga rzeką Nogat dla barek, zestawów barka-pchacz jest otwarta. Można swobodnie na nią wpływać z Zalewu Wiślanego i Wisły. Wszystko jest sprawne, służy funkcjonują, jednostki mogą kursować. Malbork ma możliwości, by towary przyjmować w swoim porcie rzeczny i transportować dalej (miasto jest ważnym węzłem kolejowym).

Piotr Szwedowski, Zbigniew Ptak, ale i Jerzy Wcisła wskazują, że Nogat jest częścią polskiego odcinka międzynarodowej drogi wodnej E70 łączącej Wisłę z Zalewem Wiślanym, Elblągiem, Gdańskiem oraz turystycznie przez Kanał Jagielloński z Pojezierzem Iławsko-Ostródzkim. Tym bardziej, ich zdaniem, należy przypomnieć rządzącym o potencjale i wadze rzeki dla regionu.

– Nogat może mieć znaczenie subregionalne, łączące możliwości województw warmińsko-mazurskiego i pomorskiego – wskazuje Wcisła. – Transport towarów z elbląskiego portu tą trasą to jedno. Trzeba jednak zwrócić też uwagę na turystykę, która także ma znaczenie gospodarcze, jest wartością samą w sobie. Na początku lat 2000 mieliśmy poważne plany stworzenia produktu turystycznego – połączenia śródlądowego statkami białej floty Malborka, Elbląga, miejscowości nad Zalewem Wiślanym. Byłaby to odpowiedź na pewien problem tych miast, którym dziś trudno na dłużej zatrzymać turystów. Ludzie zwiedzają np. zamek i od razu wyjeżdżają. Taka kompleksowa oferta byłaby w stanie ich tu zatrzymać

na dłużej. Budowa mostu w Kępkach te plany przekreśliła.

Zbigniew Ptak przypomina jedną z opinii Parlamentu Europejskiego. – Wszystkie kraje powinny dążyć do tego, żeby w strategii rozwoju transportu była uwzględniona żegluga śródlądowa. Ja się z tym zgadzam – zaznacza.

– Potencjał Nogatu, w aspekcie towarowym, pasażerskim, ale też jachtowym, turystycznym, potwierdzają badania, raporty. Chodzi nie tylko o Malbork, Elbląg, ale też mniejsze miejscowości po obu brzegach Nogatu, które mogłyby np. rozwijać swoje marinę w ramach Pętli Żuławskiej. Są wyraźne deklaracje armatorów jednostek towarowych, białej floty o uruchomieniu rejsów. Wyprawa tym szlakiem, który jest piękny sam w sobie, z Malborka do Krynicy Morskiej byłaby czymś niesamowitym. W dodatku szlak jest niemal gotowy, cały system śluz jest sprawny. Jest kwestia mostu w Kępkach, którą jednak moim zdaniem, da się załatwić bez większych trudności – tłumaczy Zbigniew Ptak.

W grę wchodzi też względy bezpieczeństwa. Wcisła tłumaczy: Jesteśmy w najtrudniejszym momencie geopolitycznym od II wojny światowej, więc rzeka Nogat może się znaleźć w strategiach Obrony Ludności i Obrony Cywilnej. To ważny aspekt – tłumaczy.

Jeden powiat nie załatwi sprawy

Właścicielem mostu w Kępkach jest powiat nowodworski. Przeprawa powstawała w nieco innych czasach, kiedy finanse samorządów były znacznie skromniejsze, a lista problemów liczona była w tysiącach. Budowa mostu w 2006 r., w ramach ówczesnej przebudowy trasy E7, była dla powiatu nowodworskiego szansą, z której nie mógł nie skorzystać, by ułatwić komunikację mieszkańcom i turystom. Saperska konstrukcja z czasem stała się elementem lokalnej komunikacji. Dziś już nikt nie wyobraża sobie, jak ta część Żuław była

NOGAT MOŻE MIEĆ ZNACZENIE SUBREGIONALNE, ŁĄCZĄCE MOŻLIWOŚCI WOJEWÓDZTW WARMIŃSKO-MAZURSKIEGO I POMORSKIEGO

w stanie funkcjonować bez mostu. Bo by przekroczyć rzekę, gdy zamknięto przeprawę promową, trzeba było jechać kilkanaście kilometrów do mostu w Jazowej, w tamtym czasie drogami będącymi w kiepskim stanie.

Powiat nowodworski przemierzał się zresztą do przebudowy mostu w Kępkach i przygotował program funkcjonalno-użytkowy na potrzeby inwestycji, do której jednak nie doszło ze względów finansowych. To koszt około 4 mln zł. Powiatu nowodworskiego nie było na to zwyczajnie stać.

Ale obecnie temat wraca, za sprawą inicjatywy Piotra Szwedowskiego, który do malborskiego starostwa zaprosił na spotkanie w sprawie Nogatu lokalnych samorządowców z Żuław i Powiśla, także parlamentarzystów. Pomysł jest prosty – most w Kępkach można, i trzeba, przebudować, na obiekt zwodzony – podnoszony.

– Nie ukrywam, że to nie jest priorytet powiatu nowodworskiego, w świetle sytuacji geopolitycznej, w świetle tego, jakie mamy problemy z drogami po przekopie Mierzei Wiślanej (zostały poważnie uszkodzone przez ciężki transport w czasie budowy kanału żeglugowego – red.). Ja oczywiście rozumiem zamysł przebudowy mostu, w żaden sposób nie chcę go torpedować. Natomiast chciałabym uprzedzić, że każde otwieranie mostu dla żeglugi to są koszty, jeśli chodzi o obsługę mostu. Trzeba zatrudnić ludzi, to są też koszty awaryjne. Oczywiście kibicujemy, żeby się udało pozyskać zewnętrzne wsparcie finansowe, ale w którymś momencie będzie sytuacja tego rodzaju, że trzeba będzie oszacować koszty obsługi mostu. Powstanie pytanie, czy tylko powiat nowodworski (mniej majątny od sąsiednich – malborskiego i elbląskiego – red.) będzie miał ponosić takie bieżące koszty. To też trzeba mieć z tyłu głowy – mówiła rzeczowo podczas spotkania roboczego w Malborku Barbara

Ogrodowska, starosta nowodworska.

Podpisuję się

Obawy Barbary Ogrodowskiej rozumieją jej koledzy z innych samorządów. Deklarują jednak, że nie chcą zostawić powiatu nowodworskiego samego z tym problemem. Piotr Szwedowski proponuje współpracę samorządów, dla których rzeka ma potencjał gospodarczy, w tym turystyczny. Siły miałyby powiązać te samorządy, które łączą Nogat: powiaty sztumski, malborski, nowodworski i elbląski oraz miasta i gminy: Elbląg, Malbork, Nowy Dwór Gdański, Nowy Staw i Sztum.

– Zdajemy sobie sprawę, że powiat nowodworski sam nie ma takiej sprawczości, rozumiemy, że należy go wesprzeć, bo to jest nasza wspólna sprawa, zresztą nie tylko powiatów, także samorządu wojewódzkiego, a myślę, że ważna w skali kraju. Rozumiem obawy, natomiast chcemy to rozłożyć na barki kilku samorządów. W Kępkach jest most, ale może on mieć wpływ na Białą Górę w gminie Sztum, gdzie znajduje się kapitalna infrastruktura wodna, gdzie sam fakt istnienia inżynierii wodnej jest celem wielu turystów, żeby tę technikę oglądać. Kwestia żeglowności Nogatu jest w największym wymiarze interesem Malborka, bo tu mamy najwięcej turystów. Chodzi o to, żeby Nogat ożywiać dla dobra miasta i powiatu, ale też innych samorządów, w tym – dla dobra Elbląga, bo to jednak jest droga międzynarodowa E70. Na naszym spotkaniu był pan starosta elbląski, mamy też zapewnienie o poparciu prezydenta Elbląga. Myślę, że jest nadzieja na powodzenie naszego przedsięwzięcia – mówi Piotr Szwedowski.

Samorządowcy chcą zainteresować tematem marszałków obu województw, wojewodów, a przede wszystkim ministra infrastruktury, który dysponuje programami na budowę i przebudowę mostów (to np. program „Mosty dla regionów”, ale też Krajowy Program Żegluga

gowy do 2030 r. oraz Rządowy Fundusz Rozwoju Dróg).

By przekonać decydentów, samorządowcy są gotowi sfinansować opracowanie dokumentacji technicznej modernizacji mostu, by powstała konstrukcja podnoszona hydraulicznie do prześwitu 5-metrowego. To miałyby być rodzaje karty przetargowej dla pozyskania środków, które mogłyby stanowić 80 proc. kosztów inwestycji. Wkład własny miałyby wspólnie zapewnić samorządy. Według szacunków z 2024 roku przebudowa mogłaby kosztować 3,8 mln zł, ale dzisiejsze ceny na pewno są wyższe.

– Początki czasami są trudne, ale warto coś robić, bo nasz region jak żaden inny w Polsce wyróżnia się tym, że my na wodzie stoimy. W takim Bełchatowie gdyby zobaczyli, ile my mamy możliwości, to paznokcie gryzłoby z zazdrości – przekonywał Zbigniew Ptak.

W kolejnych tygodniach lokalne samorządy mają przygotować list intencyjny o współpracy, dotyczący rozwoju żeglugowego Nogatu. Planują też wystąpienie w czasie posiedzenia Parlamentarnego Zespołu do spraw Rozwoju Dróg Wodnych w pierwszej połowie listopada.

– Podpiszę się od razu pod wnioskiem dotyczącym finansowania przebudowy mostu w Kępkach – mówi Jerzy Wcisła, a podobnie zadeklarowali senatorowie Ryszard Świłski i Leszek Czarnobaj.

– Pętla Żuławska jest przykładem sukcesu, jaki przynosi rozwój śródlądowych dróg wodnych. Żegluga na Nogacie musi być przywrócona – stwierdził Świłski.

– Chcemy zabiegać w ministerstwach o sfinansowanie tego przedsięwzięcia z programów, które będą przeznaczone na te cele – dodawał Leszek Czarnobaj.

– Liczymy na wsparcie parlamentarzystów, bo myślę, że żeglowny Nogat to jest jeden z istotnych elementów dla rozwoju naszych powiatów – mówił nam Piotr Szwedowski.

„Żuławia” to kompleksowy program zrównoważonego rozwoju Żuław i Powiśla jako całego obszaru leżącego w dwóch województwach - pomorskim i warmińsko-mazurskim, a na Pomorzu po dwóch stronach Wisły, czyli obejmujący powiaty: kwidziński, sztumski, malborski, nowodworski, gdański oraz elbląski.

Tylko pięć takich regionów

Na razie to koncepcja i punkt wyjścia do dalszych działań, dlatego nie można się dziwić huraoptymizmowi twórców wizji Żuław jako doskonale prosperującego regionu o znaczeniu strategicznym dla kraju.

- Takich regionów, które mamy wytypowane, jest tylko pięć w Polsce. Żuławy będą jednym z nich. Za tym pójdzie wiele mechanizmów dzięki temu, że ktoś to pozbiera i ułoży w jedną myśl, jedną wizję. Jak ktoś będzie myślał o Żuławach, to będzie myślał o energetyce rozproszonej, energetyce wodnej, banku żywności - mówił Maciej Samsonowicz, przedstawiciel Ministerstwa Obrony Narodowej, podczas spotkania w Nowym Stawie, gdzie zaprezentowane zostały główne założenia „Żuławii”.

Autor tych słów pełni funkcję doradcy ministra obrony ds. „Paktu dla Bezpieczeństwa Polski”. Niedawno został zaprezentowany raport dla Pomorza Środkowego, będący zestawieniem dróg, linii kolejowych, innej infrastruktury uznanej za istotną dla obronności kraju, a co za tym idzie - samorządy mają szansę na pozakonkursowe i pełne finansowanie inwestycji z budżetu państwa. Jak wyjaśnia Maciej Samsonowicz, „Żuławia” i podobne wspomniane programy urodziły się przy okazji prac właśnie nad paktem.

- Gdy opracowywaliśmy ten raport „Pomorze Środkowe”, mieliśmy bardzo prosty cel: umożliwić wojskowemu podjęciu decyzji co do kluczowych inwestycji infrastrukturalnych, które muszą być zrealizowane ze względu na dobro Polski. Zabraliśmy się za pracę kompleksową, by przejrzeć całą infrastrukturę pod względem obronnym. W toku prac zaczęliśmy opracowywać też koncept gospodarczy. Wyszło nam z analiz, że specjalizacja powoduje konieczność dopasowania oczekiwań, możliwości i koncepcji realizacji do kilku regionów w Polsce, po to, żeby regiony były traktowane jako zbiór, który będzie pracował „na mieszkańców” i „na odporność” strategiczną kraju. I stąd wzięła się „Żuławia”. Koncepcja wybiera rzeczy najważniejsze dla Żuław: bezpieczeństwo żywnościowe, bezpieczeństwo wodne, dywersyfikacja energetyczna, ale inna niż na Kaszubach, gdzie mamy projekt „Zielony Okręg Przemysłowy Kaszubia”. Za tym pójdą



Na pewno dobre jest to, że ktoś pomyślał o Żuławach i Powiślu jako regionie wyjątkowym, w który warto „pompować” jak najwięcej uwagi, a razem z nią pieniądze i technologii

W TEJ SPRAWIE JEST TYLKO JEDNA PARTIA: ŻUŁAWY

Żuławy i Powiśle jako region dobrze zorganizowany, bezpieczny pod różnymi względami, z tanią energią, rozwijającym się rolnictwem, z młodymi ludźmi, którzy nie będą uciekać w świat, brzmi to trochę, jak legendarna „kraina mlekiem i miodem płynąca” albo słynne „I have a dream”, ale twórcy projektu uważają, że od czegoś trzeba zacząć, a ta część Polski w końcu zasługuje na kompleksowe rozwiązania

Radosław Konczyński

inwestycje infrastrukturalne oraz ściąganie przedsiębiorców - przekonuje Maciej Samsonowicz.

„To więcej niż koncepcja”

„Żuławia” ma być programem Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi, wspieranym przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Podczas spotkania w Galerii Żuławskiej w Nowym Stawie koncepcję zaprezentował Paweł Cywiński, od niedawna pełnomocnik ministra rolnictwa do spraw Żuław. Funkcja ta pojawiła się po zalaniu tysięcy hektarów pól podczas trwającego blisko dobę deszczu, który przeszedł nad regionem. Potem przez sierpień i wrzesień przetoczyła się dyskusja nad słabością żuławskiego systemu melioracyjnego, który jak najszybciej wymaga usprawnienia.

- „Żuławia” to więcej niż koncepcja, to zobowiązanie, nad któ-

rym pracowało wiele osób, oparte na kilku filarach: energetyka, rolnictwo, bezpieczeństwo wodne, młodzież, turystyka. Żeby o tym mówić, trzeba wiedzieć, co jest największym problemem i czego Żuławy potrzebują. A potrzebują przede wszystkim bezpieczeństwa hydrologicznego, bo sieć kanałów, pomp i wałów to nie jest widziśmiało, tylko konieczność. Dzięki temu menonici potrafią bez dostępu dzisiejszej elektroniki wyprowadzić stąd wodę i zarządzać nią tak, że powstały pola uprawne. Mamy zobowiązanie

wobec tych, którzy mieszkali tutaj przed wiekami, ale też zobowiązanie wobec naszych przodków, którzy w latach 50. ponownie osuszali Żuławy. Żeby taki teren był bezpieczny, musi być odwodniony i musi być przeprowadzona retencja - mówił Paweł Cywiński.

Na co dzień jest mieszkańcem gminy Sadinki w powiecie kwidzińskim. To już Powiśle, ale jak podkreślił, „nie ma szczęśliwych Żuław bez szczęśliwego Powiśla”, dlatego ono też musi się znaleźć w programie, chociaż w samej nazwie nie zostało ujęte.

„ŻUŁAWIA” TO WIĘCEJ NIŻ KONCEPCJA, TO ZOBOWIĄZANIE, NAD KTÓRYM PRACOWAŁO WIELE OSÓB, OPARTE NA KILKU FILARACH

Odchodząc na moment od „Żuławii”, ale pozostając przy wodzie, warto wspomnieć, że w tym tygodniu z kolei w malborskim starostwie odbyło się spotkanie pełnomocnika ponad 100 żuławskich rolników m.in. z samorządowcami, przedstawicielami Wód Polskich i wojewody pomorskiego. Kończy się szacowanie szkód po lipcowych podtopieniach. Na dziś przyjmuje się, że pod wodą znalazło się ponad 20 tysięcy hektarów, straty finansowe są wielomilionowe, a co istotne, zalane tereny na kilka lat będą wyłączone z użytkowania. Rolnicy obawiają się, że ekstremalne ulewę będą się powtarzały, oczekują więc zdecydowanego zwiększenia finansowania przez państwo na utrzymanie urządzeń hydrotechnicznych (kanałów głównych, stacji pomp, wałów), ale też „wyeksmitowania” rosnącej populacji bobra z Żuławach. Jako przykład podają Holandię - kraj depresyjny, gdzie jak zapewniają, nie uświadczą się bobra w tamtejszych tysiącach kanałów. A twórcy żuławskiej melioracji, menonici - nazywani też olędrami - przecież stamtąd przybyli do Polski...

Wróćmy do programu „Żuławia”. Poza bezpieczeństwem wodnym, jego kolejnym elementem jest tania, lokalna i stabilna energia.

- Chodzi o rozproszone źródła energii, jak wiatraki i farmy fotowoltaiczne, ale fundamentem przyszłości są biogazownie i biometanownie. Samowystarczalność energetyczna Żuław jest czynnikiem, do którego będziemy dążyli w tej koncepcji. Dedykowane farmy fotowoltaiczne i wiatrowe powinny powstawać przy głównych stacjach pomp z magazynami bateryjnymi i wodorowymi, zintegrowanie z mikrosiecią, żeby zoptymalizować zużycie energii. Podstawą całego rozwoju w najbliższych latach jest biogaz i biometan. Tania energia dla lokalnego przemysłu, biometanownie przy dużych zakładach produkcyjnych. Większy nacisk na biometanownie, bo biometan to gotowy produkt, który można wtłaczać do sieci gazowych - wyjaśniał Paweł Cywiński.

W tej ostatniej kwestii twórcy programu będą musieli wykonać dużą pracę informacyjną, bo trzeba przypomnieć, że biogazownie, ale ostatnimi czasy także farmy wiatrowe, są na cenzurowanym wśród części żuławskiej społeczności.

Pełnomocnik ds. Żuław porusza też problem młodzieży „uciekającej” do dużych miast, wyjeżdżającej do szkół już tam zostającej, czy braku szkolnictwa rolniczego na Żuławach (poza kierunkiem w szkole w Barlewickach).

- Fundamentem rozwoju Żuław i Powiśla zawsze było rolnictwo, tymczasem teraz w czterech powiatach jest jedna szkoła, która kształci rolników, a jest to niezbędna wiedza i umiejętności,

aby ten teren się rozwinął. Tu musimy stawiać na start-upy agrotechnologiczne i do tego potrzebne jest kształcenie - mówił Paweł Cywiński.

W programie „Żuławia” pojawiły się też m.in. dwa już znane pomysły komunikacyjne - Nadwiślański Korytarz Transportowy łączący region kujawsko-pomorski z Mierzeją Wiślaną, który miałby zastąpić drogę krajową nr 55, oraz Żuławska Kolej Metropolitalna łącząca Elbląg z Gdańskiem, przebiegająca przez Nowy Dwór Gdański.

Ta „partia” żyje w was

To koncepcja, czyli załazek i początek długiej drogi od pomysłu do konkretnego. Jedni nazwą go baśnią o Żuławach, ale inni - realną szansą na dynamiczny rozwój. Do tej drugiej grupy zalicza się poseł PSL Marek Biernacki.

- Nie możemy zaprzepaścić dużej szansy, którą daje to, że na północy tworzy się zielone zagłębie. Ono powstanie, to jest już nieuchronne, bo już wiatraki funkcjonują, w różny sposób trwają prace przy elektrowni jądrowej. Zastrzyk energii plus rozwój portów Gdynia i Gdańsk i możemy naprawdę coś stworzyć. I to jest też apel - żeby wspólnie działać, zapomnieć o najróżniejszych podziałach, szerokokolitycznych, wewnątrzpartyjnych. Tu jest jedna partia, która się nazywa: Żuławy. Ona żyje w was i powinniśmy zawsze dążyć do kompromisu, żeby dla niej skutecznie działać, bo nie będziemy mieli większej szansy w perspektywie najbliższych 10 lat - przekonywał Marek Biernacki.

Jak dodał parlamentarzysta, to spotkanie (które odbyło się w poniedziałek) powinno rozpocząć cały cykl spotkań poświęconych Żuławom i ich rozwojowi gospodarczemu.

- Takie programy powstały, bo bardzo zmieniła się rzeczywistość. Już nie mówię o bezpieczeństwie. Potrzeba też takiej doktryny, obok poselskiego zespołu ds. Żuław i obok prac podejmowanych przez Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego, która jest otwarta, która czeka na państwa współpracę. Tak jak przy Via Pomeranii, „Kaszubii” jeździliśmy po tamtej części regionu, tak samo tutaj będziemy chcieli się spotykać i przekładać na pomysły, które będą realizowane - zapewnia Marek Biernacki.

W ramach projektu przewidziane jest powołanie pełnomocników powiatowych programu, którzy będą w stałym kontakcie z samorządami. Wielu mieszkańców Żuław i Powiśla na pewno trzyma kciuki za powodzenie tej wizji, zwłaszcza że od lat popularne są tutaj opinie (żeby nie napisać o poczuciu krzywdy), że w samym województwie pomorskim ta „ściana wschodnia”, tzw. zawiśle mogłoby być bardziej dostrzegane...

Co jest takiego w kolei wąskotorowej, że wciąż przyciąga pasażerów, choć pojawiały się opinie, że jest „starym kłopotem”? To wciąż ważna atrakcja turystyczna całego województwa pomorskiego.

W naszym kraju jest moda na zabytki, w tym zabytki techniczne. Ludzie je zwiedzają, fascynują się nimi. Wartość takich obiektów, jako atrakcji turystycznych, wzrasta, gdy zabytek techniki jest odrestaurowany, w pełni funkcjonalny. Widzimy to w okresie wakacji, właśnie w czasie kursów Żuławskiej Kolei Dojazdowej. Pasażerów przybywa, z roku na rok. Zarówno turystów, jak i mieszkańców. Oczekiwanie społeczne jest takie, by kolej nie pełniła jedynie roli atrakcji, ale była też lokalnym środkiem transportu. Mamy rzeczywiście stałych pasażerów, którzy dojeżdżają ŻKD z Nowego Dworu Gd. do Stegny, Jantar do pracy. Mówimy zatem o ważnym dziedzictwie kulturowym, które zachowuje funkcjonalność, ale też jego nowej roli w regionie i społecznej funkcji. Bardzo się cieszę, że są jeszcze ludzie, którzy kochają dziedzictwo kulturowe, w tym to techniczne, a w naszym przypadku, kolejowe.

To ja dodam, że fajnie, że są ludzie z pasją - wolontariusze, społecznicy z Pomorskiego Towarzystwa Miłośników Kolei Żelaznych, którzy całą tę, wąskotorową maszynę na Żuławach, wprawiają w ruch.

Tworzymy Pomorskie Towarzystwo Miłośników Kolei Żelaznych, zajmujemy się Żuławską Koleją Dojazdową, w imieniu właściciela - Powiatu Nowodworskiego. W większości jesteśmy zawodowo związani z transportem kolejowym, choć nie wszyscy bezpośrednio pracujemy przy taborze czy w torach. Z jednej strony chcemy, by kolejowe dziedzictwo techniki przetrwało jak najdłużej, a z drugiej - muszę przyznać szczerze, praca przy kursach ŻKD jest dla nas odskocznią od bieżących zajęć. Ta pasja sprawia nam mnóstwo radości, satysfakcji. Jest to taka sama sytuacja jak w przypadku innych pasji - są kolekcjonerzy, wędkarze oraz miłośnicy dawnej kolei, w tym tej w mniejszym, wąskotorowym wydaniu.

Z Filipem Bebenowem napisał pan monografię poświęconą historii kolei wąskotorowej na Żuławach. To spora książka. Było o czym pisać?

Oczywiście, że było. Koleje na Żuławach powstawały od 1891 roku - początkowo jako kolej konna w Nowym Stawie, kiedy jej wagony, jak sama nazwa wskazuje, ciągnęły konie. Później oczywiście zwierzęta zastąpiły parowozy. W szczytowym okresie żuławskie koleje miały około 330 km linii. Pełniły głównie funkcje gospodar-

cze. Zbudowano ją głównie do przewozu towarów, w znacznej mierze płodów rolnych, z gospodarstw do np. cukrowni buraczanych, w Nowym Stawie czy Malborku. Co ciekawe, niemal każde większe gospodarstwo miało swoją bocznice, zbudowaną do wywozu płodów rolnych. Na każdą z nich lokomotywy dowoziły wagony. Dzisiaj byłoby to nieopłacalne, ale kiedyś na Żuławach niemal każdy gospodarz mógł bezpośrednio z pola, z folwarku załadować swój towar na wagony i wysłać dalej. Obecnie rola tej kolei jest zupełnie inna. Nie jest wykorzystywana w ruchu towarowym, bo nie ma takich potrzeb. Dziś służy turystom, na zachowanej linii liczącej 32 km. Chcieliśmy opowiedzieć o tych wszystkich latach kolei wąskotorowej na Żuławach, zebrać w całość, przedstawić ją od początku aż do końca. Trzeba zaznaczyć, że istnieją inne publikacje poświęcone historii żuławskiej kolei, ale nie odzwierciedlają w 100 proc. wielu szczegółów tej historii, w tym jej zmiany do dzisiejszej formy, tego kompleksowego przebrzmowania. Po raz pierwszy nasza monografia ukazała się w 2018 roku (pt. Żuławska Kolej Dojazdowa). Nakład się wyczerpał, ale w związku z licznymi zapytaniami, zapotrzebowaniem na tę książkę, postanowiliśmy ją odświeżyć i wydać ponownie, przy okazji jubileuszu 120. rocznicy otwarcia linii Prawy Brzeg Wisły - Sztutowo. Zaktualizowaliśmy ją, dołączyliśmy wydarzenia z ostatnich lat, czyli na przykład przewozy w czasie covidu czy remont mostu obrotowego w Rybinie. Dzięki wsparciu Grzegorza Fey udało nam się pozyskać bardzo dużo zdjęć i materiałów archiwalnych z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, jeszcze z czasów funkcjonowania linii w pełnym wymiarze, kiedy nosiła nazwę Gdańskich Kolei Dojazdowych. Druga część monografii jest wzbogacona wyraźnie w war-

ZABYTEK NA TRASIE: ŻUŁAWSKA KOLEJ WĄSKOTOROWA

W 1998 r. kolej wąskotorowa na Żuławach została zrównana z ziemią. To, co dzisiaj funkcjonuje, zostało zbudowane od podstaw, co bez wątpienia wymaga docenienia – mówi Przemysław Strzyżewski z Pomorskiego Towarzystwa Miłośników Kolei Żelaznych. Dziś i jutro Żuławska Kolej Dojazdowa obchodzi ważny jubileusz

Tomasz Chudzyński



Przemysław Strzyżewski i Filip Bebenow - autorzy monografii poświęconej żuławskiej kolei wąskotorowej

stwie estetycznej, w postaci zdjęć, dokumentów.

Który fragment historii jest szczególnie fascynujący?

Wskazę jeden z najważniejszych momentów historii kolei na Żuławach. To rok 1996 i następne trzy lata, kiedy postanowiono o likwidacji ówczesnych Gdańskich Kolei Dojazdowych. Odbuła się ostatnia kampania buraczana w ruchu towarowym, ostatnie przewozy pasażerskie. I niestety, pomimo dużego, bogatego majątku, w postaci dóbr materialnych - lokomotyw, wagonów motorowych, wagonów osobowych, towarowych, dobrego stanu infrastruktury, cały ten zasób Gdańskich Kolei Dojazdowych został, jedną centralną decyzją, zaprzeczony. Lokomotywy i wagony zostały pocięte na złom lub wywiezione do innych kolei, w innych miejscach Polski. Co warto podkreślić wyraźnie - dziś, niestety, praktycznie nikt już taboru wąskotorowego nie produkuje, a jeśli tak, to za bardzo duże pieniądze. Nie można niczego już, na wąskie tory, w prosty sposób pozyskać. Był to zatem rok tragiczny, dewastujący. Na szczęście

wkrótce po likwidacji GKD zaczęło się nowe otwarcie. Rozpoczęły się starania o przywrócenie ruchu wąskotorowego, a na dziejowej scenie pojawiło się tu Pomorskie Towarzystwo Miłośników Kolei Żelaznych, wraz z Powiatem Nowodworskim, lokalnymi samorządami, Urzędem Marszałkowskim Województwa Pomorskiego. I udało się ten tragiczny trend dla żuławskiej kolei odwrócić. Została ona ożywiona i dziś jest niezwykle, docenianą atrakcją, mającą spore sukcesy. Ciekawych wątków w historii kolei jest sporo, ale moim zdaniem, ten z przełomu wieków XX i XXI jest szczególnie i wymaga mocnego podkreślenia. W 1998 r. żuławska kolej została zrównana z ziemią, nie została ani jedna śrubka, ani jeden młotek, śrubokręt na warsztacie. To, co jest dzisiaj, zostało zbudowane od podstaw, co bez wątpienia wymaga docenienia.

W wagonach ŻKD można spotkać pasażerów z całego kraju. Co charakterystyczne, wszyscy są zafascynowani krajobrazami, które widać z okien, zarówno Żuław, jak i Mierzei. Mamy zatem przyrodę i zabyt-

kowe budowle - most obrotowy na Szkarpiawie, most nad Tugą w Nowym Dworze Gdańskim, skryty między dawnymi domami...

Mogę się tylko zgodzić. Linia łącząca Nowy Dwór Gdański ze Stegną liczy około 15 km, ale zawiera w sobie wszystko to, co w całej historii żuławskiej kolei się mieści. Płaski, wielobarwny teren Żuław, z roślinnością, zwierzętami, przepustami, mostem obrotowym, starymi kościołami i domami - to musieli widzieć „od zawsze” pasażerowie i kolejarze przemierzający ten szlak. Podróżni rzeczywiście uwielbiają tę linię, a w szczególności wieczorne pociągi ze Stegny do Nowego Dworu Gd., które odbywają się w zachodzącym słońcu... To jest naprawdę kwintesencja Żuławskiej Kolei Dojazdowej.

Jeszcze na początku lat 90. XX w. można było dotrzeć wąskim torem do stacji w Kałdowie, tuż przy zamku w Malborku. Taka wycieczka przez Żuławę, łącząca krzyżacką warownię z miejscowościami nadmorskimi byłaby dziś hitem turystycznym. Szkoda, że tej i wielu innych linii biegnących po Żuławach już nie ma...

Kiedy likwidowano infrastrukturę Gdańskiej Kolei Dojazdowej, jej potencjał turystyczny nie był brany pod uwagę. Relacja, o której pan mówi, byłaby bez wątpienia wielką atrakcją, choć pod pewnymi warunkami. Pamiętamy, że linię tę projektowano dla przewozów towarowych - to był dość długi odcinek, między wieloma miejscowościami. Ta linia musiałaby przejść modernizację i remont, by zachować wszelkie parametry trakcyjne. Bez tego czas przejazdu koleją wąskotorową między Kałdowem a Nowym Dworem Gd. zajmowałby około dwóch godzin. Natomiast jest inny szlak, spełniający warunek atrakcyjności turystycznej podróży. Pamiętamy, że w Nowym Dworze Gd. zbiegają się linie wąskotorowa i normalnotorowa, którą przez Nowy Staw, Szyman-

kowo można dotrzeć do Malborka. Naprawdę niewiele brakuje, by taka linia została „spięta”, by można było stworzyć znakomity produkt turystyczny, dla turystów z całej Polski. To zresztą już się działo. W latach 2009-2013 udało się uruchomić projekt pn. Pociąg na plażę. PTMKŻ wspólnie z samorządami oraz przewoźnikiem Arriva uruchomił pociąg z Grudziądza przez Kwidzyn, Malbork, Szymankowo do Nowego Dworu Gdańskiego, gdzie pasażerowie przesiadali się do kolei wąskotorowej. Ten kurs cieszył się ogromną popularnością. Dwa spalinowe zespoły trakcyjne podstawione przez Arriva, na prawie 500 miejsc, nie dawały rady pomieścić wszystkich chętnych pasażerów. Łącznie kursowały dwa szynobusy wraz z wagonem piętrowym, a i tak część pasażerów odbywała podróż na stojąco. Na pewno popyt na takie połączenie jest. Przy okazji jubileuszu 120. rocznicy uruchomienia linii z Prawego Brzegu Wisły do Sztutowa, który odbędzie się w najbliższy weekend, podsumujemy ten ponad wiek żuławskiej kolei. Myślę również, że wszyscy powinniśmy się zastanowić, co dalej robić i jak działać, żeby kolejne 120 lat historii kolejnictwa na Żuławach nam się napisało, w dodatku zgłoskami rozwoju.

Najbliższy weekend na Żuławach upłynie pod znakiem wąskotorowej kolei. Będzie konferencja dotycząca historii i przyszłości Żuławskiej Kolei Dojazdowej, ale będzie też swego rodzaju podróż w przeszłość. Na tory wyjadą wąskotorowe parowozy i jeszcze inny, szczególnie gość.

To prawda. Będzie to możliwe dzięki współpracy z naszymi partnerami. Elcka Kolej Wąskotorowa wypożyczyła nam parowóz Px48, czyli maszynę dosyć dobrze znaną z wielu lat służby na torach żuławskich. Na jubileusz przybędzie do nas też mały parowóz Las 4968 (z Kaliskiej Kolei Dojazdowej), który służył na pracy na tzw. liniach cukrowniczych i przemysłowych. Największą chyba perełką, bez której w ogóle nie moglibyśmy rozmawiać o tej rocznicy, to wagon motorowy MBd1-130, który z Żuławami związany jest jak żaden inny element wąskotorowego taboru. Te wagony, przedwojennej konstrukcji, były po wojnie przebudowywane do obecnej formy w warsztatach Gdańskiej Kolei Dojazdowej w Lisewie Malborskim. Nie ma bardziej żuławskiego, historycznego pojazdu kolejowego. Dlatego bardzo mocno zabiegaliśmy o to, by do nas przyjechał z Muzeum Kolei Wąskotorowej w Sochaczewie. W ten weekend będziemy mogli zobaczyć raz jeszcze ten wagon na Żuławach, w obsłudze pociągów planowych. ©©

DOKĄD PĘDZĄ KONIE APOKALIPSY?

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwana jest najnowsza premiera Teatru Wybrzeże „Memling, czyli historia końca świata”, według scenariusza, w reżyserii i scenografii Agaty Dudy-Gracz

Grażyna Antoniewicz

W Europie szaleją zaraży, trwają wieloletnie wojny. W klasztornym szpitalu na „niemoc nerwową” leczy się słynny malarz Hugo van der Goes. Umieszczono go tu w obawie przed Świętą Inkwizycją. Dopiero co wrócił z podróży, podczas której widział obraz swego konkurenta, Memlinga, a także coś, co odebrało mu zmysły.

Trwa wojna

Akcja naszego spektaklu dokładnie rozpęta jest między rokiem 1467 a 1471. To są lata, w których Memling malował swój „Sąd Ostateczny”. Kilka lat wcześniej na stosie spłonęła Joanna d'Arc, Turcy podbili Konstantynopol i zniknęło Bizancjum – mówiła przed spektaklem Agata Duda-Gracz w rozmowie z Moniką Mioduszeuską (kierowniczką Działu Komunikacji i Edukacji Teatru Wybrzeże). – W Europie szaleje niejaki Vlad Palownik, który dla zabawy w ciągu dwóch dni wbił na pal dwadzieścia tysięcy ludzi. Turcy wpływają na Morze Śródziemne i zaczynają zagrażać republikom kupieckim. Trwa wojna Europy z Hanżą. Koniec świata wisi nad ludźmi, bo wszystkie znaki z Apokalipsy się spełniają. Konie Apokalipsy pędzą przez Europę tam i z powrotem, a cała historia dzieje się w głowie rywala Memlinga, wielkiego malarza z Brugii, Hugona van der Goesa.

Van der Goes zasłynął jako „najznamienitszy malarz późnego gotyku”, ale również jako człowiek, który „zmysły stracił” i był leczony w klasztorze Augustianów w dość oryginalny sposób, a mianowicie za pomocą muzyki. Jej słuchanie zostało mu zaordynowane na podstawie Starotestamentowej Księgi Samuela, w której młody Dawid kołł grą na harfie skołatane zmysły króla Saula.

W spektaklu jako Hugona van der Goes zobaczymy Michała Miodka.

Nasza praca nie zaczęła się od tekstu scenariusza, od historii, która jest tam przedstawiona, tylko od tego, że zastanawialiśmy się, kim był Hugo van der Goes, jakie miał problemy, kim dla niego mógł być Memling – powiedział aktor

na próbie prasowej. – To, że był on jego rywalem malarskim, nam nie wystarczało. Dla nas było ważne pytanie, dlaczego ten Memling powoduje u Hugona tak głębokie stany depresyjne, dlaczego jest wywoławcą psychozy? Z tego powodu, improwizując, stwarzaliśmy różne sytuacje. Ostatecznie zbudowaliśmy historię opowiadającą o tym, że kiedy van der Goes wyjechał do Kolonii (posłany tam przez braci zakonnych w ramach poszukiwania inspiracji), zobaczył tam obraz Memlinga, ale jednocześnie zastał płonące stosy i palone podczas procesów czarownic małe dziewczynki. To była dla niego ogromna trauma, więc wrócił nie z inspiracją, ale doświadczeniem stosu. Jednocześnie na obrazie Memlinga zobaczył postać bardzo przypominającą jego zmarłą żonę, która podobnie jak ona miała miedziane włosy, tak jakby Memling zmultiplikował jej postać. W momencie głębokiej psychozy taka interpretacja staje się prawdą. Żywimy przekonanie, że to jest mój największy wróg, który poniżył mnie naj-

WIZJĘ SĄDU OSTATECZNEGO HANS MEMLING WYKONAŁ NA ZAMÓWIENIE ANGELO DI JACOPO TANIEGO, PRZEDSTAWI- CIELA BANKU MEDYCEUSZÓW

bardziej jak tylko mógł i nienawidzę go całym sobą, więc obwiniam o wszystkie swoje nieszczęścia i postrzegam jako uosobienie zła. Co natomiast było najtrudniejsze w pracy nad tą rolą? Pokazanie, że nie jest to żaden wariat, tylko osoba głęboko nieszczęśliwa – dodał aktor.

W roli Hansa Memlinga zobaczymy Michała Jarosa.

– Jestem bardzo ciekawy, jak zostanie odebrana moja postać – powiedział Michał Jaros. – Komu widz uwierzy, van der Goesowi czy Memlingowi (uosobieniu wszelkiego zła), a może Memlingowi artyście, który chce namalować dzieło życia? Rodzi się też pytanie, co przemawia przez jego rywala? Zazdrość, ból, depresja, kom-

pleksy? Czy jest to usprawiedliwienie? Co jest najtrudniejsze w tej roli? Myślę, że w przypadku mojej postaci bardziej precyzyjność niż emocjonalność – dodał aktor.

Kwiatom brakuje tylko zapachu

Tryptyk Hansa Memlinga z otwartymi skrzydłami mierzy 242 cm wysokości i 360 cm szerokości, można go oglądać z dwóch stron. Namalowany został techniką temperowo-olejną na dębowych deskach o grubości nie większej niż 1 cm. Na skrzydłach zewnętrznych, które widać po zamknięciu tryptyku artysta namalował klęczącego fundatora obrazu – Angelo di Jacopo Taniego i jego żonę Catarinę. An-

gelo miał wtedy lat pięćdziesiąt, a jego żona osiemnaście. Obraz powstał między 1467 a 1471 rokiem, dlatego nie ma na nim córki fundatora, która urodziła się pod koniec 1471 roku.

Tryptyk miał zachęcać do rozważań nad prawami wiary i skłaniać do ich przeżywania. Jest to dzieło wybitne, kwiatom na obrazie brakuje tylko zapachu, motyle skrzydła różnią się tym od prawdziwych, że nie można z nich zerzeć pyłku, a z brokatowych tkanin wyciągnąć nitki. Memling, jak wszyscy malarze niderlandzcy, czuł materię, ale nie zgubił ducha.

Tryptyk Memlinga – pełen alegorii i symboli, na którym centralne miejsce zajmuje Chrystus – Król Nowego Przymierza, gestem rąk wprawiający w ruch wszystko wokół siebie, oddzielający dobrych od złych – niezmiennie wzbudzał pożądanie moźnych tego świata.

Nie ma drugiego „Sądu” o tak ciekawej historii. Przypomnijmy, wizję Sądu Ostatecznego Hans Memling wykonał

na zamówienie Włocha Angelo di Jacopo Taniego, przedstawiciela banku Medyceuszów w Brugii (dzisiaj Belgia). Przeznaczone było do rodowej kaplicy Tanich w kościele w Badii Fiesolana pod Florencją. Ukończone dzieło załadowano wraz z innymi kosztownościami na galere „San Matteo”. Droga z niderlandzkiego portu Sluis została przerwana w kwietniu 1473 r. na wysokości Dunkierki atakiem karaweli „Peter von Danzig”, dowodzonej przez gdańskiego kapra Paula Beneke. Paul Beneke dowodził swoimi statkami tylko do 1475 roku, kiedy to „Peter von Danzig” („Piotr z Gdańska”), dotarłszy do Brugii, prawdopodobnie rozbił się o skały. Paul Beneke zamieszkał z córką Elżbietą na rogu ulic Świętego Ducha i Węglarskiej w Gdańsku. Miał stamtąd blisko do kościoła Mariackiego, gdzie w kaplicy Bractwa Świętego Jerzego znajdował się słynny tryptyk. Czy kapitan został pochowany w tej świątyni, czy na żeglarskim cmentarzu koło kościoła Świętego Jakuba? Nie wiadomo.

Tylko rabunek

„Sąd Ostateczny” Memlinga to wyjątkowy skarb. Już na początku XVII wieku cesarz Rudolf II chciał go odkupić od gdańszczan za niewyobrażalną wówczas sumę 40 tysięcy talarów. Potem cena dzieła już tylko rosła, aż do momentu, gdy uzyskało ono status bezcennego, czyli takiego, w którego posiadanie można było wejść jedynie przez rabunek. Kupić go chciał Piotr Wielki, dawał ogromne pieniądze, za które można by dzisiaj nabyć pół wybrzeża Bałtyku, a gdańszczanie powiedzieli: nie! Tłumaczyli przy tym, że obraz jest zdeponowany w kościele i stanowi dar dla Pana Boga, jakby zapominając, że Sąd Ostateczny pochodzi z rabunku...

Piotr Wielki nie odważył się go zagrabić. Cóż, władcy świata wiedzieli, że staną kiedyś przed Sądem Ostatecznym i być może zastanawiali się, po której stronie, po lewej czy po prawej. Na kradzież zdecydował się jednak Napoleon, a potem Fryderyk Wilhelm III, wreszcie Rosjanie, jednak tryptyk wciąż wracał.



„Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga, jak przystało na arcydzieło, nadal intryguje i budzi niepokój

FOT. KAROLINA MISZTAŁ



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Agata Duda-Gracz zaprasza na wyjątkową podróż w czasie



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Dramatyczne losy tryptyku stanowią materiał na hollywoodzki film



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Postacie z obrazu Memlinga ożyją na oczach widzów

Intryguje i budzi niepokój

Tryptyk przetrwał ponad 500 lat historycznych burz i - jak przystało na arcydzieło - nadal intryguje, budzi niepokój. Wizja Hansa Memlinga przedstawia bowiem nie tyle dramat końca świata, co głęboko teologiczną opowieść o dniu, w którym zbiega się początek i koniec czasu Zbawienia.

Jego niezwykle dzieje zainspirowały kilka lat temu Mirosława Bujko do napisania libretta, a Krzysztofa Knittla do skomponowania opery, którą wyreżyserował w Operze Bałtyckiej Paweł Szkotak.

Czy spektakl Agaty Dudy-Gracz stanie się równie wielkim wydarzeniem artystycznym jak jej zrealizowany przed dziesięcioma laty w gdyńskim Teatrze

Muzycznym autorski spektakl „Kumernis, czyli o tym, jak świętej panience broda urosła”? Zobaczymy. ©

PRAPREMIERA I OBSADA

Dzisiaj w Gdańsku na Dużej Scenie Teatru Wybrzeże. W spektaklu wystąpią: Dorota Androsz, Justyna Bartoszewicz, Małgorzata Brajner, Katarzyna Dalek, Magdalena Gorzelańczyk, Grzegorz Gzyl, Michał Jaros, Maja Kleszcz, Wojtek Krzak, Dariusz Alexander Majchrzak, Katarzyna Z. Michalska, Marcin Mioddek, Janek Napieralski, Marzena Nieczuja-Urbańska, Grzegorz Otrębski, Paweł Pogorzałek, Marek Puchowski, Cezary Rybiński, Marek Tynda oraz gościnnie Maciej Baka.

AKCJA SPECJALNA HIPOKRATES

0011407620

Apteka to moje centrum dowodzenia

Zapraszamy na rozmowę z Anną Leszczyńską, farmaceutką, działaczką społeczną i laureatką współorganizowanego przez markę APTEO konkursu „Recepta na dobro”.



Co mówią pacjenci, kiedy przychodzą do pani po poradę?

Najczęściej, że przysłała ich mama, ciocia albo koleżanka. Wielu pacjentów znam od lat, wracają do mnie z rodzinami i polecają znajomym. Niektórzy twierdzą nawet, że jestem „lekarzem przed-pierwszego kontaktu” (*śmiech*). Ale chciałabym tutaj jednoznacznie podkreślić, że nie zastępuję lekarza. Jestem dumna z bycia farmaceutką. Pracuję w zawodzie od przeszło czterdziestu lat, mam ogromne doświadczenie i wiedzę, którą chcę się dzielić.

Stąd pomysł na działania edukacyjne?

Zacząłem się od warsztatów dla dzieci. Potem były bezpłatne zajęcia dla seniorów, podczas których opowiadałam o zagrożeniach wynikających z zażywania zbyt wielu leków i zwracałam uwagę na możliwe interakcje. Zajęcia kończyłam zawodami w segregowaniu leków synonimowych. Zwycięski

zespół dostawał nagrodę, więc walka bywała zacięta. Seniorzy w ogóle pięknie się angażowali i zadawali mnóstwo pytań. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że tego typu oddolne działania są potrzebne.

Oddolnie działa też pani w Towarzystwie Przyjaciół Lanckorony. Czym się zajmujecie?

W dużym skrócie: chronimy lokalne dziedzictwo, dbamy o zażytki, organizujemy wystawy i wydajemy gazetę. Pierwsze numery pisaliśmy w aptece, bo tylko tam mieliśmy komputer. Dzisiaj działamy z większym rozmachem, ale nadal to właśnie apteka jest moim centrum dowodzenia. Tutaj spotykam się z pacjentami i działam na rzecz lokalnej społeczności. Na pewno pomaga mi w tym autorytet zawodowy.

Czyli dobrze być farmaceutką?

Z mojej perspektywy tak - warto jednak zaznaczyć, że prowa-

dzę aptekę w małej miejscowości z ograniczonym dostępem do lekarzy. Często więc to właśnie do mnie pacjenci zgłaszają się w pierwszej kolejności po pomoc. Wiedzą, że mogą mi zaufać, bo jestem farmaceutką z dużym doświadczeniem. Naprawdę czuję się potrzebna i doceniana. Największym wyrazem uznania od lokalnej społeczności było dla mnie przyznanie tytułu Honorowego Obywatela Gminy Lanckorona. W całej historii otrzymało go tylko pięć osób, więc to ogromny zaszczyt!

A jak zareagowała pani na nominację i wygraną w konkursie „Recepta na dobro”?

Prawdę mówiąc, kiedy odebrałam telefon z zaproszeniem na galę, uznałam, że to chyba jakaś pomyłka lub żart. Zdążyłam już zapomnieć o nominacji, więc odparłam, że nigdzie nie zamierzam jechać, bo mam dużo pracy (*śmiech*). W końcu jednak dałam się przekonać i nie żałuję!

Czy taka nagroda jest według pani potrzebna?

Oczywiście! Z jednej strony - dzięki nagrodzie inne zawody medyczne mają szansę zobaczyć, że my, farmaceuci, też robimy ponadprzeciętne rzeczy. Z drugiej - dla farmaceutów to może być impuls, żeby wyjść ze swoimi pomysłami w świat. Bardzo do tego zachęcam koleżanki i kolegów po fachu: jeżeli działacie na rzecz pacjentów, pochwalcie się tym. Naprawdę razem możemy wiele zmienić na lepsze.

Czyli - zamierza pani dalej działać?

W głowie mam milion pomysłów, tylko doba jest za krótka na zrealizowanie wszystkich (*śmiech*). Ale i tak się staram, planuję nowe zajęcia dla dzieci, przeprowadzam przeglądy lekowe, koordynuję tworzenie historycznego murala. Chcę pomagać póki starczy sił. Tego nauczył mnie dziadek społecznik - że nie jesteśmy na tym świecie dla pieniędzy, ale dla innych ludzi. Od początku do samego końca.

CZY SZTUCZNA INTELIGENCJA ZASTĄPI LEKARZY RADIOLOGÓW?

AI zastąpi radiologów, ale tylko tzw. opisywaczy, bo jeżeli ktoś opisuje tylko to co widzi na obrazku z badania - „uszkodzone, pęknięte” itd. nie formułując żadnego wniosku, to bez problemu może go zastąpić sztuczna inteligencja - tłumaczy dr n. med.

Joanna Niemunis-Sawicka, radiolog specjalizująca się w diagnostyce narządu ruchu

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Mam wrażenie, że pół życia pacjenci spędzają w kolejkach. Wśród nich są też ci skarżący się, że na badanie rezonansem magnetycznym czekać muszą nawet kilka miesięcy.

Od czasu, gdy pojawił się rezonans magnetyczny, na to badanie jest ogromne zapotrzebowanie.

A jeszcze niedawno zapisywano pacjentów na odległe terminy na tomografię komputerową...

W dziedzinie diagnostyki radiologicznej dokonał się niesamowity postęp. Ja zaczynałam jeszcze od takiego sekwencyjnego tomografu, który „ciął” badany narząd, oczywiście wirtualnie, na plasterki. Trudno było z tego stworzyć cały, wyraźny obraz. Dziś obraz w badaniu TK jest taki, jaki widzimy w atlasach anatomicznych. Umożliwia nam to tworzenie przestrzennych obrazów - na przykład stawów, kręgosłupa czy naczyń krwionośnych badanych choćby pod kątem tętniaków.

Z tego, co udało mi się ustalić wynika, że obecnie na tomografię komputerową nie ma tak dużego zapotrzebowania...

Są pewne sytuacje, w których to badanie jest niezbędne. TK jest kluczowym narzędziem w medycynie ratunkowej do szybkiej oceny w stanach nagłych; w urazach (szczególnie w diagnostyce obrażeń kostnych i we wstępnej ocenie narządów wewnętrznych). W neurologii wykorzystywany jest do szybkiej diagnostyki udarów mózgu. Poza momentami zagrożenia życia wykorzystywany jest we wszystkich niemal problemach medycznych.

Jednak w neurologii to rezonans magnetyczny zrobił gigantyczną rewolucję.

To prawda. O ile w tomografii komputerowej struktury kostne są bardzo dobrze widoczne, o tyle cały układ nerwowy i wszystkie tzw. tkanki miękkie, mogą być ocenione w ograniczonym zakresie. W tej chwili rezonans magnetyczny w neurologii i neurochirurgii jest po prostu narzędziem codziennym. W wielu salach operacyjnych u neurochirurgów funkcjonują aparaty pomagające precyzyjnie ustalić zakres zabiegu.

Czy wszyscy pacjenci czekający w kolejce potrzebują właśnie tego badania?

Nie jestem pewna. Problemem w polskiej medycynie jest brak określonych i przestrzeganych wskazań, kiedy to badanie jest niezbędne. To oczywiście ma swoje plusy i minusy. W przypadku krótkotrwałych dolegliwości tzw. wypadnięcia dysku - na przykład Francuzi każą czekać sześć tygodni, leczyć zachowawczo, a badanie wykonać przy braku postępu leczenia, jeśli będzie pacjenta dalej silnie bolało lub będzie czuł się gorzej.

Ma to swoje wady i zalety, ale u nas jakkolwiek ból kręgosłupa jest powodem do wypisania pacjentowi skierowania na rezonans magnetyczny lub zgłoszenia się pacjenta na badanie komercyjne. Jakby nikt nie wiedział, że może boleć kręgosłup. W efekcie w jednej kolejce czekają osoby wymagające pilnej diagnostyki i osoby, które tak naprawdę badania nie potrzebują.

Szastamy publicznymi, bądź własnymi pieniędzmi?

Trudno powiedzieć. Każdy chce poznać przyczynę złego samopoczucia. Chce zdiagnozować siebie, członków swojej rodziny - na przykład starszych rodziców. I to nie może dziwić. Problem w tym, że często nie ma żadnych wskazań do tych badań. Pacjenci



Dr Joanna Niueumins-Sawicka prowadzi zajęcia w zakresie kompleksowej diagnostyki obrazowej układu mięśniowo-szkieletowego

z nich korzystają, zwłaszcza, że badania są dostępne za nie zbyt duże pieniądze. W związku z tym coraz więcej osób stać na takie badania. Rezonans kosztuje od 300 złotych, do około 1300 zł. Dla większości z nas zdrowie jest bardzo ważne i odmówimy sobie wielu innych rzeczy, aby pójść na badanie.

Wcześniej jednak pacjent musi trafić do lekarza choćby po skierowanie?

Rzeczywiście tak powinno być, ale tak nie jest. W wielu krajach pacjent nie może sobie pójść i wykupić badanie rezonansem, bo musi mieć od lekarza skierowanie. W realiach naszego systemu ochrony zdrowia pacjent musiałby czekać w dwóch kolejkach: jednej do lekarza spe-

reszta w tym pompy insuliny i rozruszniki serca mogą być przez lekarza prowadzącego odłączone na czas badania potem wyregulowane na nowo. Oczywiście np. protezy stawowe nie są przeciwwskazaniem do wykonania badania MR. Jest ich zresztą coraz mniej. Nie da się ukryć, że wszystkie pracownice, które oferują badania odpłatne po prostu je wykonują.

Szybciej na badanie można się dostać, jeżeli pacjent jest przyjęty do szpitala, prawda?

Co do zasady tak, ale pacjent musi mieć wskazania do hospitalizacji. Coraz rzadziej zdarzają się diagnostyczne przyjęcia do szpitala. Wszystko co jest możliwe wykonuje się w trybie ambulatoryjnym bo każdy dzień pobytu pacjenta w szpitalu to są wielkie pieniądze. Oczywiście pacjent, który wymaga położenia do szpitala jest badany wg potrzeb na bieżąco.

Jeżeli miałyby pani ostrzec pacjentów, żeby nie powtarzali badań, to które by pani wymieniła?

Na pewno badanie rentgenowskie i tomografię komputerową, bo każda dawka promieniowania gromadzi się w naszym organizmie i to przez całe życie, choć tego nie wiadać. Są rejestry dawek i pacjent nie powinien być badany w promieniach rtg jeżeli nie ma takiej potrzeby.

Bo mu to zaszkodzi?

To nie jest tak, że jak zrobimy pięć zdjęć, to zwiększy się ryzyko nowotworu. Jak się ma trzydzieści badań TK w ciągu jednego miesiąca to dawka się gromadzi i dochodzi do wywołania mutacji nowotworowych, czyli np. do uszkodzenia szpiku kostnego, co może doprowadzić do zaburzeń. Promieniowanie może wywołać mutacje w materiale genetycznym komórki co pro-

wadzi do rozwoju nowotworu.

Czy radiolodzy są bardzo obciążeni pracą?

Są, ale z jednej strony są obciążeni, a z drugiej wreszcie dobrze zarabiają. Ale o tym decyduje rynek, czyli zapotrzebowanie na badanie wśród pacjentów. Aktualnie jest to specjalizacja, która jest dobrze płatna (wreszcie). A w dodatku lekarz radiolog może ją wykonywać zdalnie, co jednak nie jest dobre dla pacjentów. Lekarzy, którzy opisują badana zdalnie traktuje się nie jak lekarzy, tylko jak „opisywaczy”.

Czy sztuczna inteligencja zastąpi radiologów?

Zastąpi, ale lekarzy tzw. opisywaczy, bo jeżeli ktoś wykonuje opis systemowy - „uszkodzone, pęknięcie” i tak dalej, nie formułując żadnego wniosku, to może to zrobić pierwszoroczny rezydent, a w końcu także AI.

Czy sztuczna inteligencja już gdzieś funkcjonuje?

Funkcjonuje już w naszych szpitalach, między innymi w „Copernicusie” i to bardzo przyzwyczajeni. To wyśmienita metoda do wykrywania wczesnych zawałów mózgu. Jak się jest na dyżurze, gdy jest duży natłok pracy, to przegapienie wczesnego niedokrwienia jest grzechem, bo chory może stać się osoba nie-sprawną. Dzięki AI zwiększa się prawdopodobieństwo wykrycia wczesnego zawału jeszcze w momencie, gdy wszystko jest odwracalne i lekarz neurolog może włączyć skuteczne leczenie. Często pacjent po takim incydencie może nie mieć nawet śladu przebytego „zawału mózgu”. Wg mnie to jest doskonałe. Ja osobiście bardzo chciała, żeby sztuczna inteligencja opisywała mi wszystkie kręgo-

FOT. ARCH. PRYWATNE



FOT. SŁAWOMIR SEIDLER

Każda dawka promieniowania gromadzi się w naszym organizmie i to przez całe życie, choć tego nie widać

słupy, a ja bym je tylko sprawdziła.

Czy AI ma jakieś wady?

Sztuczna inteligencja opisuje stan faktyczny, opisze to co na obrazku z badania, ale nic nie powie o pacjencie. No bo co ma powiedzieć? Będzie pani miała w kręgosłupie zmiany zwyrodnieniowe, jak każdy człowiek, który ma więcej niż 50 lat. One właściwie nie są zwyrodnieniowe, tylko są to zmiany „ze zużycia”, a nieładnie mówi się „starcze”. I co z tego? Tymczasem ból jest w zupełnie innym miejscu, najczęściej z przyczepu mięśniowego. Ale obrazek został opisany i pacjent jest chory... A ponieważ miałam przyjemność być w dobrej szkole wybitnego radiologa ze Szpitala im. Mikołaja Kopernika, doktora Janusza Dębskiego i byłam jego uczennicą, wiem jak ważna jest rozmowa z pacjentem i prawidłowa interpretacja dolegliwości pacjenta z badaniem obrazowym. Na jednym z pierwszych kursów, które prowadziłam wiele lat temu, okazało się, że sporo kolegów nie ma takich mistrzów w radiologii. Ortopedi i neurochirurdzy z zespołu profesora Wojciecha Kłoca mówili: „Daj spokój, przecież z tego opisu nic nie wynika”.

NIE MA CZŁOWIEKA, KTÓRY BY NA COŚ NIE CIERPIAŁ. KAŻDY MA BÓLE BARKU, STAWU SKOKOWEGO. TYMCZASEM ŚWIADOMOŚĆ TEGO JEST BARDZO MAŁA

A jak powinien wyglądać opis takiego badania?

Głównym problemem w diagnozowaniu schorzeń układu kostno-stawowego nie jest wykonanie samego badania i jego opisanie, bo to jest jedna składowa diagnozy. Do jej postawienia potrzebne są często wyniki innych badań obrazowych: rentgena, rezonansu i USG. Mówię głównie o narzędzie ruchu bo na tym się znam. Do tego jeszcze musimy mieć świadomość biomechaniki ludzkiego ciała. Często widzimy uszkodzenia, które w ogóle nie boją, równocześnie możemy nie widzieć zmian powodujących, a pacjent ma spore dolegliwości. Dopiero analiza wyników badań i rozmowa z pacjentem daje pewność, że diagnoza jest prawidłowa.

Właściwie każdego z nas dotyczy problem narządów ruchu....

Nie ma człowieka, który by na coś nie cierpiał. Każdy ma bóle barku, stawu skokowego czy kręgosłupa. Tymczasem świadomość tego jest bardzo mała, zarówno wśród pacjentów, jak i - niestety - wśród lekarzy pierwszego kontaktu. Większość tych dolegliwości wynika tylko z tego, że za mało się ruszamy. Równocześnie duża część tych dolegliwości mogłaby się zmniejszyć

sząc bez leczenia farmakologicznego czy operacyjnego. Jeżeli ci pacjenci (oczywiście tacy, którzy nie mają chorób uogólnionych jak reumatyzm, parkinsonizm itd.), będą się poruszali prawidłowo, to 80 proc. z nich będzie mogła obejść się bez tabletek. Jako społeczeństwo nie mamy jeszcze świadomości, jak ważny jest ruch. Chciałabym, żebyśmy jednak mieli większą świadomość, że zwłaszcza z wiekiem musimy się więcej ruszać.

Kiedyś były lekcje wychowania WF...

Większość z nas, osób już dojrzałych i starszych jest z tego pokolenia, które ruszało się świetnie na lekcjach WF. Potem, jak mówi pani, „wyszłam za mąż i mam dzieci”, no i wszystko się skończyło. Oczywiście już ta świadomość jest wyższa, ale niestety większość z nas przestaje się ruszać. Zaczyna nas bardzo wszystko boleć, a to wynika tylko z tego, że biomechanika jest taka, że tracimy mięśnie. Jeśli nie mamy mięśni, to zaczynamy się poruszać za pomocą bardziej ścięgien i kości, które nie są rozciągliwe. Mechanizm jest taki, że zostają nam sznurki i nie ma mięśni. Bo ścięgna trzeba by było nazwać sznurkami. Teraz, jak gdyby odwróciła się sytuacja, bo my byliśmy przez naszych rodziców i nauczycieli w szkole pilnowani żeby siedzieć „po turecku”. Dzieci w przedszkolu też musiały tak siedzieć. Każdy musiał siedzieć po turecku i to nie wynikało z grzeczności, tylko z tego, że ludzie zdawali sobie sprawę, że to jest prawidłowa postawa dla dziecka. Każdy

z nas musiał przeskoczyć ławeczkę, były zawody sportowe. A potem, w dorosłym życiu zapomnieliśmy, jak ważny jest ruch i wysiłek fizyczny. Chyba że ktoś pracował fizycznie. Ale tak zwany „pracownik umysłowy” siedział na czterech literach i nic nie robił. Teraz jest trochę odwrotnie. Nasze dzieci są kompletnie niedopilnowane. Dzieci nie siedzą po turecku, mamy nie pilnują siedzenia po turecku.

Dlaczego siedzenie po turecku jest prawidłowe?

Z natury rzeczy mamy krzywe nóżki, czyli troszkę koślawe kolana. To wynika z rozwoju genetycznego. Jeżeli nie wzmocnimy sobie mięśni od strony przysiódkowej uda, to jak będziemy mieli piętnaście lat nasze nogi rzeczywiście będą koślawe. Można to poprawić prawidłowym siedzeniem, wzmocnieniem konkretnych części mięśni. Osoby zdrowe można zabezpieczyć, ale tych, które mają inną naturę anatomiczną, nie da się ustrzec przed koślawością. Wyprostowanie powoduje, że wciągamy brzuch, czyli poprawiamy mięśnie brzucha, a nie kręgosłupa. Jako dziecko byłam grubaszką i musiałam się ruszać. Teraz nasze dzieci nie chodzą, tylko jeżdżą samochodami albo nie robią nic, bo mają zwolnienia z lekcji WF. Po czym taki piętnasto-, szesnastolatek budzi się i widzi, że jest trochę za grubiutki, że jest mniej sprawny, niż jego koleżdy czy koleżanki. Co zaczyna robić? Albo sam idzie biegać, albo ku nieszczęściu chodzi na siłownię dwa miesiące albo miesiąc. On robi sobie

krzywdę, pogłębia sobie wszystkie wady, postawy jakiej ma. Zaczyna być osobą niesprawną mając piętnaście lat. Dzieci mamy niesprawne, za to osoby dojrzałe, takie między trzydziestką a pięćdziesiątką zaczynają ćwiczyć. Niewiele z nich robi to jednak pod okiem fachowego trenera. I - niestety - trafiają albo na siłownię, albo na bieganie. Bieganie zaczęło być bardzo modne i super. Tylko 90 procent amatorskich biegaczy nie wie, jak to robić. Bo zanim zacznie się biegać, trzeba się biegać nauczyć.

Czy my biegamy nieprawidłowo?

Oczywiście, bo nie używamy pośladków, ani mięśni brzucha

do biegania. Biegamy tak naprawdę kolanami, zamiast całym ciałem, całym biodrami i całym kręgosłupem oraz z prawidłowym ruchem rąk. To jest wysiłek całego ciała. I bardziej mi chodzi o to, by bić na alarm, bo ortopedzi biją na alarm. Nawet 90 procent naszych dzieci jest kompletnie pozbawiona normalnego, prawidłowego, fizycznego rozwoju. Mam coraz młodszych pacjentów, którzy mają dolegliwości dla mnie niewiarygodne. A kiedy pytam: czy pani siedziała w dzieciństwie po turecku? Czy pani teraz siedzi po turecku? To patrzy na mnie jakbym była z kosmosu...

BADA, LECZY I ...ŻEGLUJE

Nie ma chyba na Wybrzeżu ortopedy, reumatologa czy rehabilitanta, który nie korzystałby z konsultacji u dr Joanny Niemunis-Sawickiej, doskonałego radiologa eksperta w zakresie badań obrazowych układu mięśniowo-szkieletowego. Doktor Sawicka od wielu lat wykonuje również inwazyjne badania artrograficzne stawów z wykorzystaniem badania TK i MR. W swojej praktyce ultrasonograficznej poza diagnostyką wykonuje drobne zabiegi terapeutyczne; stawu kolanowego, barkowego, skokowego, nadgarstkowego i łokciowego. Od 2014r prowadzi (wraz z dr Ludomirą Rzepecką-Wejs i dr. Grzegorzem Szczypiorem) Gdańską Szkołę Diagnostyki Układu Mięśniowo-Szkieletowego „Osseum.pl”. W ramach programu szkoły, regularnie prowadzi zajęcia w zakresie kompleksowej diagnostyki obrazowej układu mięśniowo-szkieletowego. Aktualnie pracuje w Rehasport Clinic oraz w Nadmorskim Centrum Medycznym. Oprócz pracy jej pasją jest żeglarsstwo, zwłaszcza morskie; podróże i turystyka (piesza, konna, rowerowa, kajakarstwo) oraz fotografia. Wraz z gronem kolegów uczestniczy w Żeglarskich Mistrzostwach Polski czy Ogólnopolskich Regatach Radiologów. Pasjonuje się dalekimi podróżami m.in. trekking po Peru, off road na syberyjskie koło podbiegunowe, czy arktyczne żeglarsstwo poza kołem podbiegunowym.

PETEGREE: KSIAŻKI TO JEDNA Z GŁÓWNYCH OFIAR WOJNY

Procedury dotyczące ochrony starodruków zaczęto tworzyć pod koniec I wojny światowej – mówi prof. Andrew Pettegree, historyk na Uniwersytecie St Andrews, autor książki „Książka na wojnie. Czytanie w ogniu walki”

Agaton Koziński

Co łączy książki i wojnę?

Ten związek staje się czytelny od przełomu XIX i XX wieku. Wcześniej zdecydowana większość ludzi na Ziemi nie umiała czytać, więc książki nie mogły mieć zbyt dużego wpływu. Zaangażowanie można osiągnąć tylko wtedy, gdy społeczeństwo jest piśmienne. Właśnie w tym kontekście książki stały się ważne w czasie dwóch wojen światowych.

Trwa wojna na Ukrainie, a także między Iranem a Izraelem. Ale nie ma mowy o książkach, jedynie nalotach, dronach i liniach frontu.

Jedną z interesujących rzeczy dotyczących wojny na Ukrainie jest to, że pod wieloma względami jest to wojna XXI wieku – widać to choćby po wykorzystaniu nowych rodzajów broni jak na przykład drony. Ale pod wieloma względami jest to też to wojna bardzo XX-wieczna, jakby wyjęta z książek o tamtym stuleciu. Co chwila czytamy historię o ludziach, którzy uciekając przed zbliżającym się frontem, porzucają własne domy, prywatne kolekcje. Czytamy o Rosjanach atakujących biblioteki, tak jak robili to w pierwszej fazie wojny, czy wywożących ukraińskie książki z bibliotek publicznych. Czytamy też o Ukraińcach oddających swoje książki do makulatury, jeśli są one w języku rosyjskim. A jeszcze przed rozpoczęciem wojny Rosjanie wydali całą serię antyukraińskich książek. Dokładnie tak samo jak Niemcy, którzy przed 1939 r. masowo wydawali publikacje kolportujące antypolskie idee.

Podkreśla Pan rolę książek w kształtowaniu opinii publicznej na temat ideologii. Ale czy nadal uważa je Pan,

za tak samo ważne jak przed II wojną światową?

Oczywiście, dziś one nie mają już takiego znaczenia jak w XX wieku – ale też nie da się powiedzieć, że dziś nie odgrywają już żadnej roli. Znaczenie historii dla kształtowania opinii w teraźniejszości jest cały czas bardzo duże, co widać na przykładzie Rosji. Przecież w tym kraju do więzienia trafiają historycy tylko dlatego, że opisywali fakty z przeszłości niewygodne dla obecnej władzy. Brzmi to może okrutnie, ale te aresztowania to najlepsze potwierdzenie istoty książek – przecież nie wsadzano by tych historyków za kraty, gdyby władza nie traktowała ich publikacji jako zagrożenia. To najlepiej potwierdza, że książki są nadal ważne wśród osób kształtujących opinię publiczną.

Co dzieje się z książkami podczas wojny? „Rękopisy nie płoną” – pisał Bułhakow w „Mistrzu i Małgorzacie”. Rzeczywiście?

Podczas II wojny światowej książki bardzo często padały ofiarą konfliktu. Najczęściej płonęły w wyniku bombardowań. Szczególnie często tracono bezpowrotnie zbiory z bibliotek publicznych. One zwykle są lokowane w prestiżowych budynkach w centrach miast, dlatego też bardzo często cierpiały podczas bombardowań. Pod koniec wojny blisko jedna trzecia zasobów mieszkaniowych Niemiec została całkowicie zniszczona lub stała się niezdadna do zamieszkania. Przy okazji przepadła też ogromna liczba książek, które znajdowały się w tych mieszkaniach.

Cena, jaką Niemcy płacili za rozpętanie wojny.

Kolejna znaczna część książek zniknęła w latach 1945 i 1946,

kiedy Niemcy szukali wszelkiego dostępnego paliwa, aby ogrzać swoje domy. Wtedy wiele książek nazistowskich, które stały się właściwie obowiązkowe w okresie III Rzeszy, zostało zniszczonych przez ich właścicieli.

Czy w czasie I lub II wojny światowej zginęła jakaś wyjątkowo cenna książka, jakiś biały kruke?

Podczas I wojny światowej, pod koniec konfliktu, kiedy dysponowano już samolotami, zaskakująco często bombardowano obiekty cywilne. I już wtedy zrozumiano, że konieczne jest opracowanie jasnych procedur ochrony starodruków. Najlepsze rozwiązanie opracowano we Włoszech, gdzie stworzono cały system wywożenia cennych książek poza miasta. W pierwszej kolejności wywożono inkunabuły, czyli druki z okresu początków drukarstwa, po nich wszelkie inne unikalne przedmioty. Ten system ewakuacji sprawił, że w czasie bombardowań Włochy nie ponieśli żadnych poważnych strat w swoich zbiorach.

Skoro Włosi mogli zabezpieczyć swoje zbiory, to czemu nie udało się to Niemcom?

Niemcy również wysłali swoje zbiory poza główne miasta. Ale ponieważ spodziewali się przede wszystkim uderzenia z Zachodu, wysłali książki na wschód – i w ten sposób wpadły one w ręce sowieckiej



Zbiory podczas porządkowania w Bibliotece Ossolineum we Wrocławiu w 1948 r. Te książki zostały przywiezione po wojnie ze Lwowa

FOT. ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLINSKICH

armii. Poza tym część niemieckiego terytorium została po wojnie włączona w granice Polski. W ten sposób miliony książek z takich miejsc jak Hamburg i Lubeka nigdy nie wróciły na swoje pierwotne miejsce. Niedawno byłem w Bibliotece Centralnej w Lubce i rozmawiałem o tym z pracownikami. I oni mi opowiadali, że do dziś nie udało im się ustalić, czy ich książki przepadły w czasie wojny, czy znajdują się obecnie w rosyjskich lub białoruskich bibliotekach.

O jakich książkach konkretnie mówimy?

Zginęły wtedy m.in. starodruki z XV wieku. Znany jest los jednego z najstarszych psalterzy, obecnie jest tylko około 20 egzemplarzy na świecie. Ów egzemplarz został zabrany do Stanów Zjednoczonych przez amerykańskiego żołnierza. Nie wiadomo kompletnie nic o losach biblioteki z Królewca. Tam był wspinały zbiór, ale nie pozostało po nim kompletnie nic, nawet katalog.

Polska poniosła dużo większe straty w czasie wojny niż Niemcy, nie my też rozpoczęliśmy tamten konflikt. Szacuje się, że z naszego kraju wywieziono co najmniej 160 tys. starych książek, duża część z nich nigdy nie wróciła. Jak się szuka zaginionych książek? Jakże są szanse ich odzyskania?

Podczas II wojny książki najczęściej płonęły w wyniku bombardowań. Tracono zbiory z bibliotek publicznych, bo te lokowano w centrach miast

Książki traktuje się trochę inaczej niż sztukę. Obrazy czy rzeźby to dzieła jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne. Tymczasem książki drukuje się w jakimś nakładzie. Nawet jeśli jest to tylko 300 sztuk, to zdecydowanie więcej niż jedna. Ma to swoją zaletę, ponieważ nawet jeśli w pożarze biblioteki spłonie jeden egzemplarz danej książki, to często można znaleźć inny w prywatnej kolekcji. Poza tym po wojnie wiele księgozbiorów udało się uporządkować. W latach 1945-46 przeprowadzono udaną operację odzyskiwania zrabowanych książek z Francji, Polski, Białorusi, Rosji i Holandii. Niemcy najpierw próbowali zniszczyć polską cywilizację, niszcząc wszystkie książki. Potem zmienili zdanie. Zamiast je zniszczyć, postanowili stworzyć w Niemczech serię ogromnych bibliotek, kierując się zasadą „poznaj swojego wroga”. Mieli więc jedną poświęconą socjalizmowi, jedną judaizmowi, jedną komunizmowi i jedną masonerii. Wszystkie te biblioteki były skatalogowane, dzięki czemu stosunkowo łatwo było je zwrócić poprzednim właścicielom. Choć inaczej to wyglądało w rosyjskiej strefie okupacyjnej, z której Rosjanie wywozili jako reparacje właściwie wszystko, i urzędnicy przemysłowi, i książki. Miliony książek trafiły do Związku Radzieckiego. Niektóre nigdy nie trafiły do biblioteki. Po upadku Związku Radzieckiego w nieczynnej cerkwi prawosławnej odkryto ogromną stertę książek, które po prostu zamieniły się w miazgę i trzeba było je wyrzucić.

Jakie książki się czyta w czasie wojny?

Głównie wspomnienia, relacje naocznych świadków. Na przykład w Wielkiej Brytanii bardzo

popularne były książki pilotów, którzy walczyli przeciw Niemcom. Ludzie szukają też książek pozwalających uzupełnić im wiedzę. Kiedy USA przystąpiły do wojny w 1941 roku, władze zdały sobie sprawę, że nie mają pojęcia o większości azjatyckich wysp, na których będą walczyć. Mieli bardzo mało informacji na ich temat. Dlatego zwrócili się z apelem do Amerykanów posiadających pocztówki, zdjęcia z wakacji, wszelkiego rodzaju podręczniki techniczne i książki podróżnicze o tamtym rejonie świata – i uzupełniali na tej podstawie wiedzę. Bardzo ważne były również wszelkie informacje na temat fabryk w krajach wrogów.

A na koniec. Gdyby Pan miał możliwość znalezienia jednej książki, która zaginęła w czasie wojny, to co by to było?

Prawdę mówiąc, ja już taką swoją książkę odnalazłem. To była książka znajdująca się w bibliotece obozowej. Gdy Niemcy likwidowali obozy, wyprawiali z nich więźniów, ale książki pozostawały – i w zdecydowanej większości przepadły. Szacuje się, że w obozowych bibliotekach znajdowało się ok. 3-4 mln tytułów, tylko bardzo mała ich część przetrwała. Ale dwa lata temu na targach antykwarycznych w Yorku znalazłem pozycję, która nie zaginęła w poździe wojny. Chodzi o książkę autorstwa arcybiskupa Canterbury. W czasie wojny trafiła do obozu oficerskiego w Bawarii, mimo że była napisana w języku angielskim. Podejrzewam, że ta książka została wyjęta z biblioteki i prawdopodobnie przywłaszczona przez niemieckiego oficera mówiącego po angielsku. W ten sposób przetrwała wojnę, a dwa lata temu stała się częścią mojej kolekcji.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



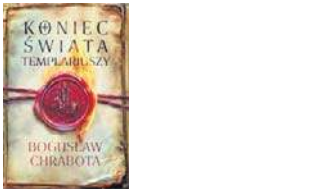
Krytyka neoliberalizmu z pozycji wolnościowych
Żaden naród tak chętnie nie odwołuje się do terminu „wolność” jak Amerykanie. Tym razem swoją perspektywę przedstawia znany publicysta, laureat Nobla z ekonomii. Krytykuje neoliberalizm. **Joseph E. Stiglitz „Droga do wolności”**, wyd. Prószyński, Warszawa 2025, cena 74,90 zł



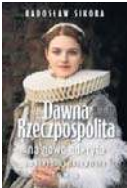
Dusza niejedno ma imię
Bardzo obszerna (niemal 1000 stron) historia duszy. Autor opisał, jak jest ona postrzegana w poszczególnych kulturach – i przeanalizował, jak zmieniał się stosunek do niej. **Paul Ham „Dusza. Historia ludzkiego umysłu”**, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 149,99 zł



Zwierzęta kontra ludzie
Inspirowana „Czterema muzykantami z Bremy” opowieść o zwierzętach buntujących się przeciw ludziom. „Ciekawe są ich przygody i pomysły” – recenzuje prof. Jerzy Bralczyk. **Tadeusz Nyczek „Banda Czworoga. Opowieść nie ludzka”**, wyd. Bosz, Oleśnica 2025, cena 49,90 zł



Jak skończyła się epoka templariuszy
Powieść autorstwa znanego publicysty, nad którą unosi się duch „Imienia róży”. Historia Zakonu Templariuszy ukazana jako uniwersalna opowieść o władzy i jej upadku. **Bogusław Chrabota „Koniec świata templariuszy”**, wyd. Zys i S-ka, Poznań 2025, cena 57,90 zł



Wszystko, co warto wiedzieć o Sarmatach
Drugi tom ciekawostek historycznych o I Rzeczypospolitej zebranych przez Radosława Sikorę. Dużo o Sarmatach, ich wychowaniu, wartościach – i codziennych zwyczajach. **Radosław Sikora „Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta”**, wyd. Zona Zero, Warszawa 2025, cena 89,90 zł



O prawdziwym znaczeniu sztuki
Zbiór wykładów niezwykłego już francuskiego intelektualisty. Maritain rozwija rozważania św. Tomasza z Akwinu o związkach sztuki z moralnością i szerzej z wartością życia. **Jacques Maritain „Odpowiedzialność artysty”**, wyd. Teologia Polityczna, Warszawa 2025, cena 47 zł



Japońska wersja „Kobiety za ladą”
Konbini po japońsku oznacza mały sklep spożywczy, taki na codzienne zakupy. Zwykle nie zauważamy sprzedawców w takich sklepach. Ta powieść jest o jednym z nich. **Sayaka Murata „Dziewczyna z konbini”**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 44,90 zł



Uniwersum realizmu magicznego
Ostatnia część trylogii „Agla”. Uniwersum stworzone przez Raka znajduje tutaj swoje zwierciadło. Czy jest możliwe uniknięcie wielkiej konfrontacji? Czy poświęcenie Wielkiej Mistrzyni da efekt? **Radek Rak „Agla. Abraxas”**, wyd. Powergraph, Warszawa 2025, cena 74 zł



Skąd właściwie wziął się krąg Stonehenge?
Ken Follett w ostatnich powieściach sięgał czasu średniowiecza i budowy katedr. Teraz cofa się jeszcze bardziej. Jego najnowsza powieść jest inspirowana powstaniem Stonehenge. **Ken Follett „Krąg czasu”**, wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 69,90 zł



Wciągająca kontynuacja Thorgala
Trwają poszukiwania autorów, którzy będą kontynuować dzieło Jean Van Hamme’a i Grzegorza Rosińskiego, twórców „Thorgala”. Tu mamy ciekawy scenariusz, ale Thorgal niepodobny do oryginału. **Antoine Ozanam „Thorgal. Ruchoe Miasto”**, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 49,99 zł



SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Czas na zdrowie

Jesienna oferta jubileuszowa





Zakwaterowanie



Śniadania i kolacje w bufecie szwedzkim, obiady serwowane do stolika



Konsultacja lekarska



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl



REKLAMA



Nadleśnictwo Niedźwiady w Przechlewie



Przechlewo, dnia 3.10.2025

Zn. spr.: SA.2281.2.2024.MH

SKARB PAŃSTWA PAŃSTWOWE GOSPODARSTWO LEŚNE LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO NIEDŹWIADY W PRZECHEWIE
ul. Człuchowska 71, 77-320 Przechlewo
Tel. 59 833 43 71
e-mail: niedzwiady@szczecinek.lasy.gov.pl

Ogłasza postępowanie (zbieranie zgłoszeń) w trybie II przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości gruntowej zabudowanej – działki ewidencyjnej nr 4147/20 położonej w gminie 062 Przechlewo, obręb ewidencyjny nr 0010 Przechlewo.

SPRZEDAWCA /organizator II przetargu ustnego nieograniczonego/
Skarb Państwa - Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe
Nadleśnictwo Niedźwiady w Przechlewie ul. Człuchowska 71, 77-320 Przechlewo
tel. 59 833 43 71, e-mail: niedzwiady@szczecinek.lasy.gov.pl,
adres do e-Doręczeń: AE:PL-14331-86220-AVICT-15
adresem Elektronicznej Skrzynki Podawczej jest - /pgl_lp_1114/SkrytkaESP
NIP: 843-000-30-57
Strona internetowa BIP Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie:
<https://www.gov.pl/web/nadlesnictwo-niedzwiady/wystapienia-komunikaty-i-ogloszenia>
Strona internetowa Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie:
<https://niedzwiady.szczecinek.lasy.gov.pl/>
Rachunek bankowy: BNP PARIBAS 86 1600 1462 1742 5705 8000 0001

zaprasza do zgłaszania udziału w postępowaniu w trybie II przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż: „**Nieruchomości gruntowej zabudowanej, działki ewidencyjnej nr 4147/20 zabudowana budynkami**”.

Podstawa prawna:

- Art. 38 ust. 3 i ust. 4 ustawy z dnia 28 września 1991 r. o lasach (t.j.: Dz.U. z 2025 r. poz. 567);
- Rozporządzenie Ministra Środowiska z dnia 20 kwietnia 2007 r. w sprawie szczegółowych warunków i trybu przeprowadzania przetargu publicznego oraz sposobu i warunków przeprowadzania negocjacji cenowej w przypadku sprzedaży lasów, gruntów i innych nieruchomości znajdujących się w zarządzie Lasów Państwowych (Dz.U. z 2007 r. nr 78, poz. 532);
- Zarządzenie Nr 49 Nadleśniczego Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie z dnia 23.09.2025 r. w sprawie wprowadzenia Regulaminu drugiego przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości stanowiącej własność Skarbu Państwa (znak sprawy: S.2281.1.2025).

I. Przedmiot przetargu:

- Przedmiotem sprzedaży w II przetargu ustnym nieograniczonym jest nieruchomość gruntowa zabudowana, działka nr 4147/20 stanowiąca własność Skarbu Państwa – Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe – Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, o powierzchni 0,4366 ha, składająca się z użytku sklasyfikowanego jako Ls, zabudowana budynkiem biurowym po byłej siedzibie Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, budynkiem garażowym z pomieszczeniem gospodarczym i budowlami stanowiącymi infrastrukturę towarzyszącą. Nieruchomość położona jest w miejscowości Przechlewo przy ul. Dworcowej 50, 77-320 Przechlewo. Nieruchomość stanowi obecnie w całości przedmiot dzierżawy. Dla nieruchomości prowadzona jest przez V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Człuchowie Księga Wieczysta nr SL1Z/00022851/4.

Szczegółowy opis nieruchomości gruntowej zabudowanej:

Lp.	Rodzaj użytku	Adres leśny /leśnictwo/	Nr działki ew.	Pow. wydzielenia ha	Pow. działki, użytku ha	Rodzaj budynku, budowli
	Rodzaj pow.	Adres administracyjny /gmina/	Nr KW			Nr inwentarzowy
1.	Ls	11-14-2-10-147 -f -00 /Lisewo/	4147/20	0,4366	0,4366	Budynek biurowy
						105/00388
						Bud.garażowy+pom.gosp.
						102/01835
						Drogi i place
	BUD INNE	22-03-062-0010 /Przechlewo/	SL1Z/00022851/4			220/00433
						Parking przy bud.biur.
						220/00448
						Ogrodzenie przy biurowcu
						291/02071
			Maszt antenowy			
			210/00382			
			Zbiornik ścieków			
			211/00392			

Adres nieruchomości: ul. Dworcowa 50, 77-320 Przechlewo, gmina Przechlewo, obręb ewidencyjny Przechlewo, działka ewidencyjna nr 4147/20.

Opis budynków i budowli zlokalizowanych na działce 4147/20:

1. Budynek biurowy o nr inw. 105/00388:
Ogólna charakterystyka: nr ewidencyjny budynku 130, identyfikator budynku 220306_2.0010.130_BUD. Przeznaczenie funkcja biurowa, rok budowy 1970 (przebudowa/ulepszenie w roku 1999, 2000, 2005), powierzchnia zabudowy 592.00 m², powierzchnia użytkowa 499.65 m².
Charakterystyka techniczna budynku biurowego:
- budynek posiada instalacje: odgromową, kanalizacyjną, wodociągową, grzewczą. Kotłownia wbudowana – kocioł CO o nr inw. 310/01662 zasilany olejem opałowym firmy BUDERUS wyprodukowany w 1999 roku o mocy 34 kW, model G115. Nr identyfikacji miejsca (adresu) PLC001 dla urządzenia grzewczego – kocioł na olej opałowy. Biurowiec wyposażony w instalację sieci alarmowej oraz instalację ppoż. w tym: monitoring wizyjny o nr inw. 620/01961, system sygnalizacji pożaru o nr inw. 624/02268.
- w budynku można wyszczególnić: pomieszczenia biurowe, techniczne, gospodarcze, salę konferencyjną, sekretariat, pomieszczenia sanitarne w tym WC damskie i męskie, korytarz, łączniki oraz kotłownię z osobnym wejściem.
- konstrukcja murowana, dach dwuspadowy kryty blachą trapezową, jedna kondygnacja nadziemna brak podpiwniczenia. W skład budynku biurowego wchodzić niżej wymienione dodatkowe elementy wyposażenia wewnętrznego i zewnętrznego:

Lp.	Wyszczególnienie - środki trwałe i wyposażenie przypisane do budynku biurowego o nr inw. 105/00388	Numer inwentarza
1.	Monitoring wizyjny (pomieszczenie nr 12)	620/01961
2.	System sygnalizacji pożaru (pomieszczenie nr 9)	624/02268
3.	Kocioł c.o.	310/01662
4.	Urządzenie klimatyzacyjne (pomieszczenie za sekretariatem)	653/02002
5.	Żyrandol z wentylatorem (sekretariat i pomieszczenie nr 16)	808/01368, 808/01369
6.	Ogrzewacz wody JUNIOR (pomieszczenie za sekretariatem)	808/02051,
7.	Reflektorek (sala konferencyjna)	B43/2538, B43/2539
8.	Żaluzje pionowe (sekretariat oraz pomieszczenia nr 2,3,4,5,6,9,10,11,12,13,14,16)	B49/2657, B49/2656, B49/2655, B49/2654, B49/2653, B49/3128, B49/2650, B49/2649, B49/2648, B49/2647, B49/2646, B49/2643, B49/2651
9.	Roleta materiałowa (pomieszczenie nr 6)	B49/2640
10.	Szafka na klucze (pomieszczenie nr 9)	B49/0868
11.	Roleta (sala konferencyjna)	B49/2331, B49/2328, B49/2329, B49/2330, B49/2332
12.	Roleta okienna (pomieszczenie sekretariat szt.2)	B49/3606
13.	Koszopielnica (lokalizacja przy wejściu do biurowca)	B49/3127
14.	Zadaszenie	B49/0833
2. Budynek garażowy + pomieszczenie gospodarcze o nr inw. 102/01835: Ogólna charakterystyka: nr ewidencyjny budynku 1002, identyfikator budynku 220306_2.0010.1002_BUD. Przeznaczenie funkcja transportu i łączności, rok budowy 2005 (decyzja - pozwolenie na budowę numer BiK-7531-3/06 z dnia 12.01.2005), powierzchnia zabudowy 148.00 m², powierzchnia użytkowa 127.23 m². Charakterystyka techniczna budynku: - budynek posiada instalacje: elektryczną, wodociągową. - w budynku można wyszczególnić: cztery boksy garażowe oraz pomieszczenie gospodarcze z możliwością magazynowania. - Konstrukcja murowana, dach dwuspadowy kryty blachą trapezową, jedna kondygnacja nadziemna brak podpiwniczenia.		
3. Drogi i place zaplecze nr inw. 220/00433: Ogólna charakterystyka: powierzchnia drogi i placu utwardzona wynosi 892 m². Utwardzenie stanowią wielootworowe płyty żelbetowe typu JOMB o ażurowej formie. Wymiary 1szt. płyty 100x75x12 cm z wagą około 150 kg. Rok zakończenia budowy 1985.		
4. Parking przy budynku biurowym nr inw. 220/00448: Ogólna charakterystyka: powierzchnia parkingu przy budynku biurowym wynosi 784 m². Rodzaj nawierzchni twarda ulepszona – utwardzenie stanowi kostka betonowa. Rok zakończenia budowy 1985.		
5. Ogrodzenie przy biurowcu o nr inw. 291/02071: Ogólna charakterystyka: murowane z cegły klinkierowej, przesła ocynkowane z dwoma bramami rozsuwnymi. Długość ogrodzenia wynosi 108 m. Rok zakończenia budowy 2010.		
6. Maszt antenowy o nr inw. 210/00382: Ogólna charakterystyka: konstrukcja kratowa ze stali, wysokości 20 m, posadowiona na bloczkach betonowych. Elementy przypisane do masztu antenowego - antena bazowa przy biurowcu o nr inw. 800/01681.		
7. Zbiornik ścieków o nr inw. 211/00392: Ogólna charakterystyka: konstrukcja żelbetonowa, zagłębiona w ziemi. Rok zakończenia budowy 1980.		

- Przeznaczenie nieruchomości w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego, a w przypadku braku planu – w studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego:**
- Dla działki 4147/20 w obrębie geodezyjnym Przechlewo nie ma obowiązującego planu zagospodarowania przestrzennego, na terenie gminy obowiązuje Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego Gminy Przechlewo uchwalone Uchwałą nr 95/XXI/2012 Rady Gminy Przechlewo z dnia 27 lutego 2012 r., w którym wskazana działka nr 4147/20 oznaczona jest jako: istniejące tereny zabudowy produkcyjnej i produkcji rolnej.
- Nieruchomość posiada bezpośredni dostęp do działki drogowej gminnej wewnętrznej, oznaczonej w ewidencji nr 698, utwardzonej kostką polbruk, która zapewnia bezpośredni dostęp do drogi publicznej.
- Sposób zagospodarowania nieruchomości:**
Nieruchomość do 2018 roku wykorzystywana była jako siedziba nadleśnictwa wraz z jej zapleczem technicznym. Nieruchomość obecnie w całości oddana w dzierżawę na podstawie przeprowadzonego z wynikiem pozytywnym postępowaniu umieszczonym pod nazwą: „Przetarg na dzierżawę nieruchomości zabudowanej położonej przy ul. Dworcowa 50, 77-320 Przechlewo” - **całość postępowania w tym wzór umowy dostępny** na stronie internetowej BIP Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie: <https://www.gov.pl/web/nadlesnictwo-niedzwiady/wystapienia-komunikaty-i-ogloszenia>. Umowy utrzymaniowe związane z zaopatrzeniem nieruchomości w wodę i odprowadzeniem ścieków oraz o świadczenie usług dystrybucji energii elektrycznej i sprzedaży energii elektrycznej – w obowiązku zawarcia przez dzierżawcę nieruchomości. Zawarte są również inne umowy, w tym umowa dzierżawy gruntu oraz umowa w sprawie umieszczenia na nieruchomości obiektów i urządzeń infrastruktury telekomunikacyjnej.
- Informacje o obciążeniach nieruchomości:**
– W dziale III KW Prawa, Roszczenia i Ograniczenia:
- nr wpisu poz.1 - wpisano ograniczone prawo rzeczowe dla działek nr: 4147/1, 4148, 4104/2, 4152/1, 4171/2, 4172/5, 4147/20, 4147/22, służebność przesyłu ustanowiona na rzecz ENERGA-OPERATOR SPÓŁKI AKCYJNEJ z siedzibą w Gdańsku.
- nr wpisu poz. 2 - wpisano ograniczone prawo rzeczowe związane z inną nieruchomością: nieograniczona w czasie służebności gruntowej na rzecz każdorazowych właścicieli nieruchomości oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka numer 4147/14 położonej w miejscowości Przechlewo, obręb 0010 Przechlewo – z ograniczeniem zakresu

wykonywania do działki numer 4147/20 z obrębu Przechlewo, objętej księgą wieczystą numer SL1Z/00022851/4 Sądu Rejonowego w Człuchowie, a polegającej na prawie przechodu i przejazdu od nieruchomości władnżej do drogi publicznej istniejącą drogą przebiegającą przez nieruchomość obciążoną /przez działkę 4147/20/ o łącznej długości 126 m i zmiennej szerokości do 4 m, z tym zastrzeżeniem że właściciel nieruchomości, dla której została ustanowiona służebność drogi koniecznej oraz jego następcy prawni partycypują w kosztach naprawy i konserwacji drogi.

- W dziale IV KW Hipoteka - brak wpisów.

5. Informacje o zobowiązaniach, których przedmiotem jest nieruchomość:

- Nabywca z dniem podpisania aktu notarialnego sprzedaży nieruchomości, wstępuje w stosunek dzierżawy/i innych zawartych umów w miejsce Zbywcy zgodnie z art. 678 § 1 ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks cywilny (tekst jednolity: Dz.U. z 2024 r., poz. 1061 z późn. zm.).
- Sprzedający informuje, że dla budynku biurowego o nr inw. 105/00388 zostało sporządzone Świadectwo Charakterystyki Energetycznej Budynku zgodnie z art. 3 ustawy z dnia 29.08.2014 roku o charakterystyce energetycznej budynku (t.j.: Dz.U. z 2024 r. poz. 101) nr SCHE/19832/34/2024 z dnia 28.03.2024 roku. Zgodnie z art. 13 ww. ustawy Sprzedający podaje w ogłoszeniu wskaźniki rocznego zapotrzebowania, wyznaczone zgodnie z przepisami wydanymi na podstawie art. 15 niniejszej ustawy i wynoszą:
 - Wskaźnik rocznego zapotrzebowania na energię użytkową: EU = 132,50 kWh/(m²-rok);
 - Wskaźnik rocznego zapotrzebowania na energię końcową: EK = 180,50 kWh/(m²-rok);
 - Wskaźnik rocznego zapotrzebowania na nieodnawialną energię pierwotną: EP = 227,05 kWh/(m²-rok);
 - Jednostkowa wielkość emisji CO₂: E_{co2} = 0,13 t CO₂/(m²-rok);
 - Udział odnawialnych źródeł energii w rocznym zapotrzebowaniu na energię: U_{oze} = 0,00%.

6. Informacje o wpisie nieruchomości do rejestru zabytków:

Nieruchomość nie jest objęta wpisem do rejestru zabytków. Dla działki 4147/20 w obrębie ewidencyjnym Przechlewo nie podjęto uchwały w sprawie wyznaczenia obszaru zdegradowanego i obszaru rewitalizacji.

II. Cena wywoławcza nieruchomości przeznaczonej do sprzedaży:

- Cena wywoławcza nieruchomości w II przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż: „**Nieruchomości gruntowej zabudowanej, działki ewidencyjnej nr 4147/20** wynosi **869 905,00 zł** (słownie: osiemset sześćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset pięć złotych 00/100).
- Cena wywoławcza nieruchomości przeznaczonej do sprzedaży określona została zgodnie z § 6 ust. 3, z zastrzeżeniem § 6 ust. 4 Rozporządzenia Ministra Środowiska z dnia 20 kwietnia 2007 r. w sprawie szczegółowych warunków i trybu przeprowadzania przetargu publicznego oraz sposobu i warunków przeprowadzania negocjacji cenowej w przypadku sprzedaży lasów, gruntów i innych nieruchomości znajdujących się w zarządzie Lasów Państwowych (Dz.U. z 2007 r. nr 78, poz. 532). Wszelkie koszty związane z przygotowaniem nieruchomości do sprzedaży zostały wliczone do ceny wywoławczej.
- Sprzedający informuje, że do ostatecznej ceny sprzedaży nieruchomości, zostanie doliczony podatek VAT, jeśli w momencie sprzedaży obowiązujące przepisy będą tak stanowiły.

III. Informacje o terminie i miejscu, w którym można zapoznać się z dodatkowymi informacjami dotyczącymi nieruchomości:

- Dodatkowych informacji o przedmiocie sprzedaży można uzyskać w dni robocze w godzinach od 8:00 do 14:00 w siedzibie Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, ul. Człuchowska 71, 77-320 Przechlewo, pod nr tel. +48 59 833 43 71, e-mail: niedzwiady@szczecinek.lasy.gov.pl.
- Nieruchomość można oglądać od dnia opublikowania ogłoszenia o przetargu do dnia poprzedzającego termin przetargu, w dni robocze od poniedziałku do piątku w godz. od 8:00 do 14:00, po uprzednim uzgodnieniu telefonicznym pod nr tel. +48 660 544 772 lub +48 608 289 826.
- Wszelkie koszty związane z oględzinami nieruchomości, uczestnictwem w przetargu, przygotowaniem i złożeniem formularza zgłoszenia udziału w przetargu wraz z wymaganymi dokumentami ponosi uczestnik przetargu.
- Sprzedawca nie bierze odpowiedzialności za wady ukryte w zgłaszanym przedmiocie sprzedaży.
- Nadleśniczy Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie może z ważnych powodów odwołać ogłoszony Przetarg, informując o tym niezwłocznie w formach wskazanych dla ogłoszenia o przetargu.
- Regulamin II przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości stanowiącej własność Skarbu Państwa dostępny jest na:
Stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, w zakładce „Wystąpienia, komunikaty i ogłoszenia”:
<https://www.gov.pl/web/nadlesnictwo-niedzwiady/wystapienia-komunikaty-i-ogloszenia>
Stronie internetowej Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie:
<https://niedzwiady.szczecinek.lasy.gov.pl/>
Tablicy ogłoszeń w siedzibie Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, ul. Człuchowska 71, 77-320 Przechlewo.

IV. Terminy i miejsce przetargu:

II przetarg ustny nieograniczony odbędzie się dnia **6.11.2025 roku** o godzinie **10:00** w siedzibie Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, ul. Człuchowska 71, 77-320 Przechlewo, w Sali konferencyjnej.

V. Wysokość wadium, jego forma, termin i miejsce wniesienia:

- Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wniesienie wadium w wysokości **44 000,00 zł** (słownie: czterdzieści cztery tysiące złotych 00/100).
- Wadium należy wnieść w pieniądzu lub w formie gwarancji bankowej.
- Wadium wniesione w pieniądzu uczestnik przetargu powinien jest wnieść przelewem na rachunek bankowy Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie - BNP PARIBAS Bank Polska S.A., numer: **86 1600 1462 1742 5705 8000 0001**, z dopiskiem „Wadium – przetarg na sprzedaż nieruchomości zabudowanej dz. nr 4147/20”, w nieprzekraczalnym terminie **do dnia 5.11.2025 r. do godz. 15:00**. Za termin wpływu wadium dokonanej przelewem uznaje się termin wpływu środków finansowych na rachunek bankowy Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie.
- Wadium wniesione w formie gwarancji bankowej sporządzonej w formie pisemnej należy dołączyć do formularza zgłoszenia udziału w przetargu, który będzie stanowił załącznik do ogłoszenia o przetargu. W przypadku dokumentu sporządzonego w formie elektronicznej, e-gwarancję opatrzoną kwalifikowanym podpisem elektronicznym, należy przesłać na adres e-mail Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie: niedzwiady@szczecinek.lasy.gov.pl, lub na adres elektronicznej skrzynki podawczej ePUAP: pgl_lp_1114/SkrytkaESP, z dopiskiem i w terminie wskazanym w dziale V ust. 3 niniejszego ogłoszenia o przetargu.
- Wymagany termin ważności wadium złożonego w formie gwarancji bankowej powinien wynosić, co najmniej 60 dni, licząc od dnia otwarcia Przetargu (termin przeprowadzenia licytacji). Z treści gwarancji powinno wynikać bezwarunkowe zobowiązanie banku (gwaranta) do wypłaty na rzecz Skarbu Państwa - Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie pełnej kwoty zabezpieczenia, na każde pisemne żądanie zgłoszone przez Skarb Państwa reprezentowany przez Nadleśnictwo Niedźwiady w Przechlewie w terminie 14 dni od daty otrzymania wezwania. Gwarancja bankowa winna być podpisana przez upoważnionego (uppełnomocnionego) przedstawiciela gwaranta.
- Wadium zwraca się w terminie trzech dni od dnia odwołania albo zamknięcia Przetargu, z zastrzeżeniem ust. 7-10. Wadium wniesione w przetargu zwracane jest w kwocie nominalnej tj. bez odsetek. W przypadku, gdy wadium zostało wniesione w pieniądzu zostanie zwrócone na rachunek bankowy, z którego zostało wpłacone.
- Wadium wniesione w pieniądzu przez uczestnika przetargu, który wygrał Przetarg, zalicza się na poczet ceny nabycia nieruchomości, przez którą rozumie się cenę nieruchomości ustaloną w wyniku Przetargu, którą obowiązany jest on zapłacić, z zastrzeżeniem ust. 9.
- Wadium wniesione w formie gwarancji bankowej przez uczestnika przetargu, który Przetarg wygrał, podlega zwrotowi niezwłocznie po wpłaceniu kwoty równej cenie nabycia nieruchomości ustaloną w wyniku Przetargu, z zastrzeżeniem ust. 9.
- Wadium przepada na rzecz sprzedającego, jeżeli uczestnik, który wygrał Przetarg, bez usprawiedliwionej przyczyny nie przystąpi do zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości w terminie i miejscu wskazanym przez sprzedającego w zawi-

domieniu lub nie dokona wpłaty wycycytowanej ceny nabycia, w określonym przez sprzedającego terminie oraz jeśli nie dostarczy dokumentów niezbędnych do sporządzenia umowy sprzedaż nieruchomości, w terminie i miejscu wskazanym przez sprzedającego. Sprzedający skorzysta wówczas z możliwości odstąpienia od zawarcia umowy oraz zatrzyma wniesione wadium, w przypadku wpłaty przelewem na rachunek bankowy sprzedającego lub wystąpi do banku (gwaranta) z żądaniem zapłaty wadium, w przypadku wniesienia wadium w formie gwarancji bankowej.

- Wadium przepada na rzecz Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie, jeżeli żaden z uczestników przetargu nie zgłosi postąpienia ponad cenę wywoławczą.
- Odwolanie Przetargu lub jego zamknięcie bez wybrania nabywcy nie daje podstaw do naliczenia odsetek od wpłaconego wadium.

VI. Zasady uczestnictwa w przetargu, zgłoszenie udziału w przetargu

- W przetargu mogą uczestniczyć osoby fizyczne i prawne, które wniosą wadium w wysokości, formie i terminie określonym w dziale V ogłoszenia o przetargu.
- Osoby fizyczne i osoby prawne mogą brać udział w przetargu osobiście lub poprzez pełnomocników. Pełnomocnictwa składane w przetargu winny mieć formę aktu notarialnego i w oryginale dołączone do formularza zgłoszenia udziału w przetargu.
- W przypadku pełnomocnictw udzielonych poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej, formą wystarczającą jest dokonanie tej czynności zgodnie z prawem państwa, w którym sporządzono pełnomocnictwo. Pełnomocnictwo to powinno być uwierzytelnione przez polskie przedstawicielstwo dyplomatyczne lub urząd konsularny, który powinien także stwierdzić zgodność z prawem miejscowym formy sporządzenia pełnomocnictwa. Dokument taki składa się wraz z tłumaczeniem tłumacza przysięgłego na język polski do formularza zgłoszenia udziału w przetargu.
- Uczestnik przetargu jest zobowiązany do wypełnienia formularza zgłoszenia udziału w przetargu – i jego złożenia na ręce komisji przetargowej wraz z dołączoną w postaci papierowej oryginału gwarancji bankowej, jeżeli taką formę wniesienia wadium uczestnik przetargu wybrał, niezwłocznie po wejściu na salę konferencyjną w siedzibie organizatora przetargu/ Sprzedającego w dniu otwarcia przetargu/licytacji. Do formularza zgłoszenia należy dołączyć oryginały pozostałych wymaganych dokumentów. Formularz zgłoszenia udziału w przetargu stanowi załącznik nr 1 do ogłoszenia o przetargu oraz dostępny jest do pobrania na stronie internetowej i BIP (w zakładce: Co robimy - Wystąpienia, komunikaty i ogłoszenia) Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie (linki do stron wskazane w dziale III niniejszego ogłoszenia) oraz na miejscu w siedzibie biura w stojaku przy tablicy ogłoszeń.
- Uczestnik przetargu powinien posiadać i okazać ważny dokument tożsamości.

VII. Przebieg przetargu:

- Czynności związane z przeprowadzeniem przetargu wykonuje Komisja Przetargowa, zwana dalej Komisją, powołana przez Nadleśniczego Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie.
- Przetarg jest ważny bez względu na liczbę uczestników przetargu, jeżeli chociaż jeden uczestnik przetargu zaoferował co najmniej jedno postąpienie powyżej ceny wywoławczej nieruchomości.
- Przewodniczący Komisji przeprowadza następujące czynności:
 - otwiera przetarg;
 - podaje informację, o których mowa w dziale I, II, VIII niniejszego ogłoszenia;
 - podaje imiona i nazwiska albo nazwy uczestników przetargu, którzy wnieśli wadium i zostali dopuszczeni do przetargu;
 - podaje wysokość postąpienia.
- Komisja przetargowa sprawdza tożsamość uczestników przetargu, weryfikując okazane dokumenty, o których mowa w dziale VI.
- Postąpienie** nie może wynosić mniej niż 1% ceny wywoławczej nieruchomości, z zaokrągleniem w górę do stu złotych, tj. kwotę **8 700,00 zł** (słownie: osiem tysięcy siedemset złotych 00/100).
- W trakcie licytacji uczestnicy przetargu, zgłaszają ustnie kolejne postąpienia, dopóki, mimo trzykrotnego wywołania przewodniczącego komisji, nie ma dalszego postąpienia. Cena oferowana przez uczestnika przetargu przestaje wiązać, gdy inny uczestnik przetargu zaoferuje cenę wyższą. Po ustaniu postąpień przewodniczący komisji uprzedza uczestników przetargu, że po trzecim wywołaniu najwyższej z oferowanych cen dalsze postąpienia nie zostaną przyjęte, po czym wywołuje trzykrotnie tę cenę, zamyka Przetarg i ogłasza imię i nazwisko albo nazwę uczestnika przetargu, który wygrał Przetarg.
- Przetarg uważa się za zakończony z wynikiem negatywnym, jeżeli żaden z uczestników przetargu nie zaoferował ceny wywoławczej powiększonej o co najmniej jedno postąpienie oraz w sytuacji, kiedy Przetarg został prawidłowo ogłoszony i nikt do niego nie przystąpił lub nikt nie został dopuszczony.

VIII. Zawarcie umowy sprzedaży:

- Nadleśniczy Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie w terminie 14 dni od dnia podania do publicznej wiadomości informacji o wyniku Przetargu, zawiadamia pisemnie nabywcę nieruchomości ustalonego w wyniku Przetargu o miejscu i terminie zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości. Wyznaczony termin nie może być krótszy niż 7 dni, licząc od dnia doręczenia zawiadomienia.
- Osoba ustalona jako nabywca nieruchomości zobowiązana jest nie później niż na 1 dzień przed wyznaczonym terminem podpisania umowy sprzedaży nieruchomości przenoszącej prawo własności nieruchomości w formie aktu notarialnego zapłacić kwotę równą 100% ceny nieruchomości osiągniętej w Przetargu, pomniejszonej o wpłacone wadium w pieniądzu. Za termin wpłaty uznaje się datę wpływu wymaganej należności na rachunek bankowy Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie wskazany w zawiadomieniu, o którym mowa w ust. 1.
- Jeżeli osoba ustalona jako nabywca nieruchomości nie przystąpi bez usprawiedliwionej przyczyny do zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości w miejscu i w terminie podanym w zawiadomieniu, Nadleśniczy Nadleśnictwa Niedźwiady w Przechlewie może odstąpić od zawarcia umowy oraz zatrzymać wniesione wadium, w przypadku wpłaty przelewem na rachunek bankowy sprzedającego lub wystąpić do banku (gwaranta) z żądaniem zapłaty wadium, w przypadku wniesienia wadium w formie gwarancji bankowej.
- Osoba ustalona jako nabywca nieruchomości zobowiązana jest do przedłożenia wszystkich dokumentów, które zostaną uznane przez notariusza lub Nadleśnictwo Niedźwiady w Przechlewie za niezbędne do sporządzenia umowy sprzedaży nieruchomości w formie aktu notarialnego. Wykaz dokumentów, które w szczególności może wymagać notariusz lub Nadleśnictwo Niedźwiady w Przechlewie, zawiera załącznik nr 3 w wydanym do drugiego przetargu ustnego nieograniczonego regulaminie.
- Niedostarczenie dokumentów, o których mowa w ust. 4, jest równoznaczne z odstąpieniem przez nabywcę nieruchomości od zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości w formie aktu notarialnego i spowoduje przepadek wadium na rzecz sprzedającego.
- Wszelkie koszty związane z zawarciem umowy sprzedaży nieruchomości w formie aktu notarialnego (m.in. koszty notarialne, sądowe oraz podatki) ponosi w całości nabywca nieruchomości, w dniu zawarcia umowy.
- Wydanie Nieruchomości nastąpi w dniu zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości przenoszącej prawo własności nieruchomości w formie aktu notarialnego.

IX. Obowiązek informacyjny:

Organizator przetargu/Sprzedający informuje, iż administratorem danych osobowych jest Nadleśnictwo Niedźwiady w Przechlewie, ul. Człuchowska 71, 77-320 Przechlewo, adres e-mail: niedzwiady@szczecinek.lasy.gov.pl, nr tel. (+48 59 833 43 71). Z inspektorem Ochrony Danych można skontaktować się na adres e-mail: iod@comp-net.pl. Dane osobowe przetwarzane będą na podstawie art. 6 ust. 1 lit. c RODO w celu związanym z prowadzeniem niniejszego postępowania prowadzonego w drodze przetargu ustnego nieograniczonego oraz jego rozstrzygnięciem, jak również w celu zawarcia umowy sprzedaży nieruchomości w formie aktu notarialnego oraz jej realizacji, a także udokumentowania postępowania przetargu ustnego nieograniczonego i jego archiwizacji. Pełna treść klauzuli informacyjnej dotycząca przetwarzania danych osobowych została załączona do formularza zgłoszenia udziału w II przetargu ustnym nieograniczonym, jest dostępna na tablicy ogłoszeniowej w siedzibie administratora lub na stronie internetowej <https://niedzwiady.szczecinek.lasy.gov.pl/>.

ADAM ZADWORNY: TRAGEDIA HEWELIUSZA TO WCIAŻ NIEPRZEPRACOWANA TRAUMA

Rozmowa z Adamem Zadwornym, autorem książki „Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku”, która ukazała się w listopadzie 2024 roku i właśnie została nominowana do finałowej piątki w konkursie na najlepszą książkę reporterską 2024 roku na X Festiwalu Reportażu w Lublinie. A na początku listopada na platformie Netflix pojawi się serial o Heweliuszu

Bogna Skarul

Od naszej pierwszej rozmowy na temat twojej książki o katastrofie Heweliusza minęło trochę czasu. Czy od tego momentu coś ciekawego się zdarzyło?

Muszę przyznać, że choć byłem zadowolony z efektu pracy nad tym tematem i znałem reakcje pierwszych osób, które czytały moją książkę, w tym ludzi z wydawnictwa Czarne, to zaskoczył mnie tak wielki ruch wokół niej. Dobrze się więc stało, że jej premiera o rok wyprzedziła premierę serialu Netflixa, bo nikt mi nie zarzuci, że popularność mojego „Heweliusza” to zasługa dzieła Kaspera Bajona i Jana Holoubka (śmiech). Okazało się też, że wciąż muszę wkładać w ten temat nieco pracy i emocji, bo cały czas gdzieś mnie zapraszają. Jestem po ponad 20 spotkaniach autorskich w różnych miastach, byłem na kilku festiwalach i mam zaplanowane kolejne.

Dlaczego jesteś zaskoczony zainteresowaniem książką?

Chyba nie doceniłem tego, jak głęboko ta historia tkwi w ludziach, i to nie tylko na Wybrzeżu. Choć w trakcie pisania pojąłem, że Heweliusz, z jego podskórnym życiem, którym rządziła „spółdzielnia pokładowa” przemytników, z całą tą historią wypadków, płynący tej nocy - mimo ostrzeżeń z innych promów - wprost w huragan, jest trochę metaforą tamtej Polski pierwszej połowy lat 90. Widać duże zainteresowanie początkami III Rzeczypospolitej w literaturze i filmie, sięgają po nie różni twórcy, popularne są na przykład kryminały osadzone w tamtych czasach. Oczywiście to zainteresowanie moją książką bardzo mnie cieszy.



Jakie były dla ciebie te spotkania autorskie?

Bywam z reguły w instytucjach kultury, bibliotekach, na festiwalach, takich jak na przykład Non Fiction w Gdyni. Ale zaproszono mnie też na spotkanie do szczecińskiego klubu kapi-tanów żeglugi wielkiej. Trochę się go bałem, bo wilki morskie, fachowcy łatwo znajdują jakąś nieścisłość, wytkną jakieś uproszczenia, które czasami musiałem stosować, bo sprawa katastrofy Heweliusza i procesów przed Izdami Morskimi to także opinie biegłych, skomplikowane ekspertyzy. Zostałem jednak dobrze przyjęty i chyba nie tylko dlatego, że sam jestem synem kapitana. Miałem spotkania na Wybrzeżu, ale też głęboko w Polsce. Te w Gdańsku, Gdyni, Sopocie czy Świnoujściu są inne, bo przychodzi spory odsetek ludzi, którzy czują jakiś osobisty związek z tą tragedią.

Dużo ich przychodzi?

Dużo. Na przykład koledzy i koleżanki dzieci ofiar - marynarzy. Mówią na przykład, że chodzili do podstawówki z dziećmi stewardessy Teresy Sienkiewicz, która zatrudniła się na statku, żeby utrzymać dwójkę dzieci, bo wcześniej mąż, pierwszy oficer, zmarł na zawał na statku w Rotterdamie. Jej ciało nie odnaleziono. Albo pojawia się ktoś, kto znał bosmana czy mechanika. Przychoǳą także dalekie rodziny ofiar katastrofy, zarówno tych z załogi, jak i pasażerów. Na spotkaniach są też ludzie, którzy pływali na bałtyckich promach, a także piloci śmigłowców z bazy Marynarki Wojennej w Darłowie, którzy w dniu katastrofy nie mogli na czas wy-

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

startować, bo wciąż bezradnie czekali na rozkaz przełożonych i do dzisiaj to przeżywają. Nawet na ostatnim spotkaniu, w połowie września, podczas Gdańskich Targów Książki w Europejskim Centrum Solidarności, podszedł do mnie po spotkaniu mężczyzna, który powiedział, że on właśnie siedział w jednym z tych helikopterów i czekał na pozwolenie na start. Albo kilka dni temu odnalazł mnie starszy pan, który - jak się okazuje - był nadzorcą budowy promu m/f Jan Heweliusz w norweskiej stoczni. Później pływał jako starszy mechanik na tym promie.

Co ci powiedział?

Użył słów „Panie, ten prom cały czas nam się przewracał”. Podczas innego spotkania podszedł do mnie pewien kapitan żegluga wielkiej, który jest też ławnikiem w Izbie Morskiej. Powiedział mi, że jedna z teorii, która się pojawia w mojej książce, taka, której nie znajdziemy w oficjalnych aktach, może być prawdziwa.

O jaką teorię chodzi?

O tę, która mówi, że na statku była pewnego rodzaju zmowa niektórych marynarzy, wynikająca z chęci ułatwienia sobie pracy.

Czyli?

Jej uczestnicy czasami nie zamykali zaworu systemu antyprzechyłowego, bo aby go zamknąć, trzeba było zejść na sam dół statku i ponad osiemdziesiąt razy obrócić takim wielkim stalowym pokrętkiem. Według niektórych ludzi, z którymi rozmawiałem, ci marynarze uważali, że to nie jest konieczne i zaworu nie zamykali. I jest taka teoria, że tej nocy, podczas huraganu, kiedy zbiegło się kilka czynników, to niezamknięcie tego zaworu mogło przyczynić się do katastrofy.

Ciekawe...

Ten ławnik, kapitan, powiedział, że jego zdaniem niezamknięcie zaworu i w konsekwencji tego grawitacyjne przelanie się wody rurami systemu antyprzechyłowego na przechyloną już o 30 stopni lewą burtę gwałtownie pogłębiło ten przechył. A rosnący przechył, jak wiemy, spowodował przewrócenie się tirów i wagonów kolejowych - to doprowadziło do położenia się promu na lewej burcie, a potem wywrócenia statku do góry dnem.

To może w ten sposób masz materiał na kolejną książkę o katastrofie Heweliusza?

Rzeczywiście pojawiają się nowe pytania, ale nie łudzę się już, że ktoś znajdzie na nie odpowiedzi. Nie ma w tym potencjału na odrębną książkę,



a ja nie zamierzam stać się specjalistą od katastrof. Chciałem napisać książkę o tamtej Polsce, dysfunkcyjnym państwie, oficjalnych kłamstwach, o tym, jak ludzie zachowują się w sytuacjach skrajnych, o krzywdzie wdów, o tym, jak powstają teorie spiskowe. Chciałem też oddać sprawiedliwość pasażerom, którzy przez lata byli tylko anonimową liczbą 35, choć w rzeczywistości zginęło ich 36...

Pewnie czytelnicy będą zadowoleni!

Zainteresowanych uspokoję. To nie jest całkowity koniec mojej pracy nad Heweliuszem.

Oooo!

Dostałem propozycję pracy nad filmem dokumentalnym, a konkretnie nad jego scenariuszem. Produkcja trwa, reżyseruje Ernest Saj ze Szczecina.

Kiedy premiera?

Późną jesienią tego roku. Mogę jedynie zdradzić, że znajduję się w nim niektóre nowe wątki, które pojawiły się już po ukazaniu się książki, a ważną częścią osi narracyjnej tego filmu będzie wyprawa na miejsce katastrofy, między innymi z ekipą nurków, ale nie tylko.

Czy ty też będziesz nurkował?

Mimo to że jestem nurkiem, to tym razem nie zanurkuję. Bo to nurkowanie, ze względu na temperaturę wody na tej głębokości, musi odbywać się w suchym skafandrze, a ja nie mam takich uprawnień. Nurkuję na podobnych głębokościach, ale w ciepłych wodach, na przykład Morzu Czerwonym.

Ten film dokumentalny jakoś się zbiegnie z emisją filmu fabularnego Netfliksa?

Tak, on będzie miał premierę na jedynce w TVP i prawdopodobnie nałoży się z premierą Netfliksa, który, jak widzimy, umiejętnie stopniuje napięcie związane z tą superprodukcją.

A w czasie spotkań autor-skich czytelnicy pytali cię o film o katastrofie?

Bardzo często. Zostałem na przykład zaproszony do Biblioteki Miejskiej w Nowej Soli. Trochę byłem tamtejszym niezwykle żywym zainteresowaniem Heweliuszem zaskoczony, bo Nowa Sól, jak wiadomo, nad morzem nie leży. Lecz na miejscu okazało się, że Magdalena Rózcza jest nowosolanką, a to ona gra ważną rolę w serialu Netfliksa. Gra żonę kapitana Andrzeja Ułasiewicza walczącą o honor męża w salach sądowych, w izbach morskich w Szczecinie i w Gdyni. I Nowa Sól o tym wie, zresztą pani Rózcza bywa regularnie w swoim rodzinnym miasteczku.

Widziałeś choć fragment serialu o katastrofie?

Jeszcze nie, poza trailerem, ale słyszałem od naszego kolegi Czarka Łazarewicza, który widział wszystkie odcinki, że ten serial jest bardzo dobry. Pamiętajmy jednak, że każdy scenariusz filmu fabularnego to fikcja literacka. Wiemy, że Borys Szyc gra kapitana Andrzeja Ułasiewicza i występuje w filmie pod prawdziwym nazwiskiem dowódcy Heweliusza. Ale w filmie będą też zapewne postaci wymyślone. Filmmowcy muszą stosować uproszczenia i nie ma w tym nic złego, bo taki jest język filmu. Czasami lepiej jakąś postać z kilku innych, prawdziwych postaci, lub nadają jej tylko pewne cechy, które miał pierwowzór. W mojej książce,

a to reportaż literacki, a nie na przykład beletrystka, są konkretni ludzie i wyłączenie sceny, które miały miejsce. Te, których nie byłem pewien, wyrzuciłem. Z niecierpliwością czekam jednak na ten serial, który na pewno będzie hitem.

A masz jakiś wątek, jakąś sprawę, której jesteś ciekawy - jak została w filmie pokazana, jak oni w filmie sobie z tą sprawą poradzili?

Mam. To zresztą dla mnie jako syna kapitana było bardzo ważne i dużo się nad tym zastanawiałem. Interesuje mnie, jak mogły wyglądać ostatnie chwile Andrzeja Ułasiewicza. Bo mamy do czynienia z jedynym po II wojnie światowej polskim kapitanem marynarki, który, nie tylko moim zdaniem, światu poszedł na dno ze swoim statkiem. Wiemy, że trzeci oficer Janusz Lewandowski zapytał go, czy może się ewakuować. Wziął skafander termiczny za zgodą kapitana, który zdążył jeszcze pożegnać swojego oficera słowami: „A idź pan, panie Jasiu, tylko uważaj pan na szyby”. A szyby na mostku były już zbite wielkimi falami. Pozostał sam na pokładzie z UKF-ką w ręku. Z tą UKF-ką w zaciśniętej dłoni wyłowiono go po dwóch tygodniach z wraku. Zastanawiałem się więc, jeszcze na etapie pisania książki, jak te chwile mogły wyglądać. Kiedy on podjął taką decyzję? No i, wracając do twojego pytania, jestem bardzo ciekaw, jak to zagra Borys Szyc.

A teraz, po licznych spotkaniach z czytelnikami, po tym, jak sam zauważyłeś spore zainteresowanie i tym serialem, i książką, nie zastanawiasz się, czy aby to wszystko, co się dzieje wokół

tragedii Heweliusza sprzed przecież 32 lat, czegoś o naszym społeczeństwie nie mówi? Może mówi, że lubimy mity, a może, że lubimy tajemnice i odkrywanie historii.

Każda wielka produkcja telewizyjna wzbudza emocje, kręci ludzi. Pamiętam, że jako mały chłopak przysłuchiwałem się wielkiej dyskusji z lat 70. nad tym, kto ma zagrać Izabelę Łęcką w serialowej „Lalce”. I to, że grała ją Małgorzata Braunek, to się nie spodobało części ówczesnego społeczeństwa. Ale sprawa tragedii Heweliusza to nie powieść, tylko prawdziwa historia, dla niektórych bardzo bolesna. Zauważ, że przy poprzednich serialach tego duetu filmowego Bajon-Holoubek, czyli świetnej „Wielkiej Wodzie”, opowiadającej historię powodzi z 1997 r. we Wrocławiu, czy

kryminalnym „Rojście” nie było aż tak wielkich emocji przed premierą. Myślę, że w Heweliusz jest coś więcej, w jego historii, jak w powieści szkatułkowej, jest zamkniętych więcej ważnych historii. Zainteresowanie Heweliuszem to także efekt nagromadzenia tajemnic wokół tej sprawy. Jeśli ludzie czują, że państwo i jego instytucje coś skrywają, to jest to dobry klimat dla teorii spiskowych. A żyjemy w czasach, kiedy coraz mniej ludzi wierzy w szczepionki, a coraz więcej w to, że ziemia jest płaska. Na każdym spotkaniu jestem pytany o teorie spiskowe, na przykład broń na pokładzie Heweliusza, choć to kompletna bzdura.

Czy może po napisaniu książki o katastrofie Heweliusza nie złapałeś już tego bakcyla odkrywania tajemnic?

Raczej nie. Heweliusza pomalutko odkładałem na półkę i skupię się na nowej książce, którą piszę dla tego samego wydawnictwa Czarne. To będzie coś w rodzaju antybalady o Szczecinie, także non fiction, ale z akcją na wielu płaszczyznach czasowych.

Kiedy premiera?

Umówiłem się z wydawnictwem na konkretny termin, ale źle oszacowałem czas potrzebny do napisania tej książki, więc jeszcze trochę to potrwa.

Będziesz na szczecińskiej premierze serialu Netfliksa o Heweliuszu?

Jeszcze nie wiem, ale myślę, że Szczecinowi ta prapremiera się należy, bo sprawa tej katastrofy to ważny element naszej historii najnowszej i nieprzepracowana trauma.

©P

SZCZECINIANIE PIERWSI ZOBACZĄ SERIAL

Zanim 5 listopada „Heweliusz” zadebiutuje na Netflixie, to właśnie mieszkańcy Szczecina i regionu jako pierwsi na świecie będą mogli obejrzeć dwa pierwsze odcinki serialu oraz spotkać twórców i obsadę.

W sobotę 18 października o godz. 17 w Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie odbędzie się przedpremierowy pokaz wyczekiwanej produkcji Netfliksa.

Po projekcji z widzami spotkają się m.in. reżyser Jan Holoubek, producentka Anna Kępińska, scenarzysta Kasper Bajon oraz odtwórcy jednych z głównych ról – Magdalena Rózcza i Konrad Eleryk.

Przedpremierowa projekcja w Szczecinie ma szczególny wymiar – to tutaj serialowa historia „Heweliusza” po raz pierwszy spotka się z miejscem, gdzie pamięć o tragedii oraz losach ludzi morza jest szczególnie obecna, a sama opowieść zyskuje wyjątkowe znaczenie właśnie nad Bałtykiem.

Bezpłatne zaproszenia na pokazy serialu Heweliusz będzie można odebrać (odpowiadając na jedno proste pytanie) 11 października w godzinach 12-16 w Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie. Jedna osoba może otrzymać maksymalnie dwa zaproszenia na jeden z pokazów. Liczba miejsc jest ograniczona.

Agata Maksymiuk

FOTOkomentarz tygodnia



2
PAŹDZIERNIKA
WARSZAWA

Rozpoczął się XIX Konkurs Chopinowski, jedno z najważniejszych wydarzeń w świecie muzyki klasycznej. 84 pianistów (w tym 13 z Polski) do 23 października będzie przedzierać się przez kolejne etapy zmagania - aż na końcu jeden z nich poczuje się tak jak Kanadyjczyk Bruce Liu (na zdjęciu za fortepianem) pięć lat temu. Konkurs Chopinowski to jedno z tych wydarzeń, które skupia na sobie uwagę całego globu. Jedną z nielicznych okazji, aby pokazać światu Polskę z innej strony niż kraj przyfrontowy. Tym bardziej warto cieszyć się tym konkursem

FOT. MATERIAŁY PRASOWE KONKURSU CHOPINOWSKI

REKLAMA0011409204

Firma Handlowo-Usługowa Wojciech Sekuła

OGŁASZA, ŻE Z DNIEM 6.10.2025 R. O GODZ. 9.00 ROZPOCZNIE SIĘ SPRZEDAŻ MIEJSC HANDLOWYCH PRZY CMENTARZACH GDAŃSKICH.

Do dnia 10.10.2025 r. powinni zgłosić się przedsiębiorcy prowadzący działalność w roku ubiegłym w celu wykupienia miejsc.

Miejsca niewykupione do tego terminu będą rozproszane w wolnej sprzedaży.

Wolna sprzedaż miejsc rozpocznie się 13.10.2025 r. o godz. 9.00.

Siedziba firmy: Gdańsk-Morena, ul. Piecowska 9 (plebania kościoła pw. Bożego Ciała), godziny działalności: 9.00-16.00, tel. 507 105 269

AUTOPROMOCJA

Dziennik Bałtycki

Gotuj się na
sobotę

dziennikbałtycki.pl

REKLAMA0011408388

BURMISTRZ BYTOWA

ogłasza przetarg pisemny nieograniczony
na najem obiektu zamkowego z przeznaczeniem na prowadzenie działalności
hotelowo-restauracyjnej przy ul. Zamkowej 2 w Bytowie

Lp.	Nr działki	Pow. działki	KW	Położenie nieruchomości	Opis nieruchomości	Przeznaczenie nieruchomości w planie miejscowym	Forma zbycia gruntu	Wywotawczy czynsz miesięczny płatny z góry do 20 każdego miesiąca	Wadium w złotych
1.	92	755 m ²	SL1B /00017998/7	77-100 Bytów ul. Zamkowa 2, obręb Sto dwa	- południowe skrzydło zamku bytowskiego stanowiące część hotelowo - restauracyjną o łącznej pow. 1.632,61 m ² , (część restauracyjna 391,96 m ² , część hotelowa 1.240,65 m ²) - mienie ruchome stanowiące częściowe wyposażenie restauracji.	Teren zabudowy usługowej i zieleni urządzonej. Prowadzenie działalności hotelowo- restauracyjnej	Najem na okres do 9 lat od zawarcia umowy z możliwością przedłużenia na dodatkowy okres do 9 lat.	24.097,32 zł + VAT	60.000,-

Publiczne otwarcie ofert w dniu **21 października 2025 r. o godz. 10:00**
(Sala Nr 101 Urzędu Miejskiego w Bytowie).

Pełna treść ogłoszenia została opublikowana na stronach internetowych www.bytow.pl i www.bip.bytow.pl.

Osoby zainteresowane zobowiązane są zapoznać się z treścią pełnego ogłoszenia.

Zastrzega się możliwość zamknięcia przetargu bez wybrania którejkolwiek z ofert.

REJSUNKI

MOJE USZANOWANIE,
ZNALAZŁE PAN TAM CO?

AAA TROCHE MASŁAKÓW
I KOZŁAKÓW...

KILKA PRAWDZIWKÓW

I BUTELKI NA KAUCJĘ!

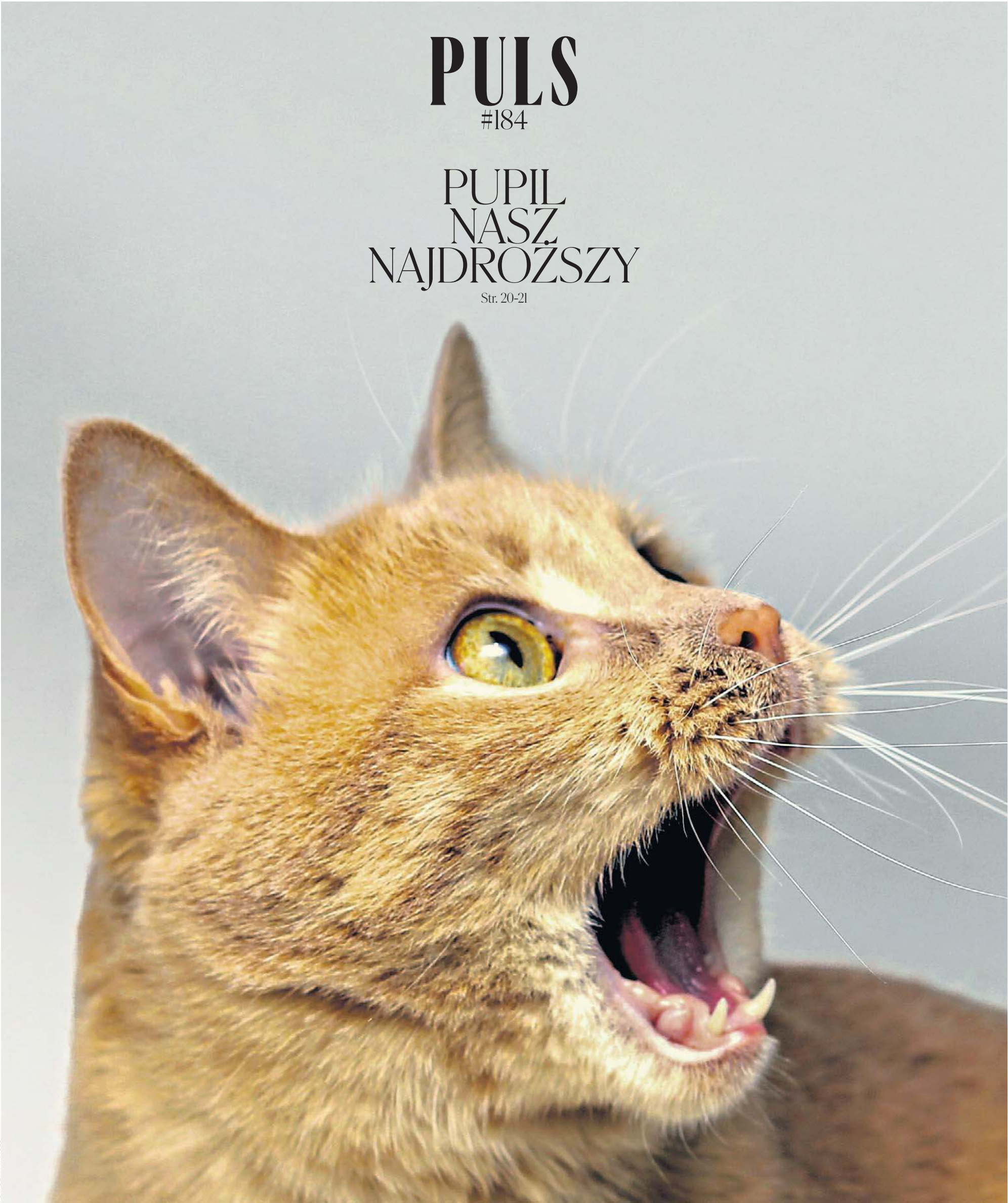
RYŚ. ISKRA

PULS

#184

PUPIL NASZ NAJDROŻSZY

Str. 20-21



FOT. GETTY IMAGES

Na osiedlu właścicieli psów znam z widzenia, czasami zamienimy kilka słów, zawsze się pozdrawiamy. Ci, którzy chodzą ze swoimi czworonogami na dłuższe spacery do pobliskiego lasu, to już grupa dobrych znajomych. Zaraz przy wejściu do zagajnika spotkam właściciela dużego owczarka niemieckiego, posłuszny i dobrze wychowany psiak. Szybkim krokiem las przemierza pani z dwoma haskimi, które mój pies uwielbia i z którymi przemaszzerowałyśmy dziesiątki kilometrów. Czasami mijam kobietę w szarej kurtce ze swoim dużym psem, mówimy sobie „Dzień dobry”, pana z biglem, też jesteśmy na „Dzień dobry”, właściciela białej labradorki - zrobiliśmy kilka wspólnych spacerów.

Ewa mieszka przy samym lesie. Ma siedem kotów i Pokera, którego odziedziczyła po zmarłej sąsiadce. Gdyby nie ona, biedak pewnie trafiłby do schroniska. Poker jest mieszańcem, dość młodym, ale ułożonym. Czasami idziemy na spacer do lasu razem. I gadamy.

- Dzisiaj znowu weterynarz! Tym razem jadę z Kicią, to ta czarna, mała kotka - wzdycha. Ewa na swoje zwierzęta wydaje majątek. Kicia jest po operacji ucha (w sumie 3 tys. złotych), wcześniej Leon, to inny kot, miał kłopoty żołądkowe (w sumie 800 złotych), najwięcej wydała na Mie, która wpadła pod samochód (w sumie 7 tys. złotych). Bo przecież płaci się nie tylko za zabieg czy operację, ale także za wszystko to, co przed i po nich: wizyty kontrolne, leki, kroplówki, badania.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie dobra emerytura i oszczędności - mówi. Dla zwierząt zrobi wszystko, pewnie gdyby musiała, zaciągnęłaby kredyt na ich leczenie.

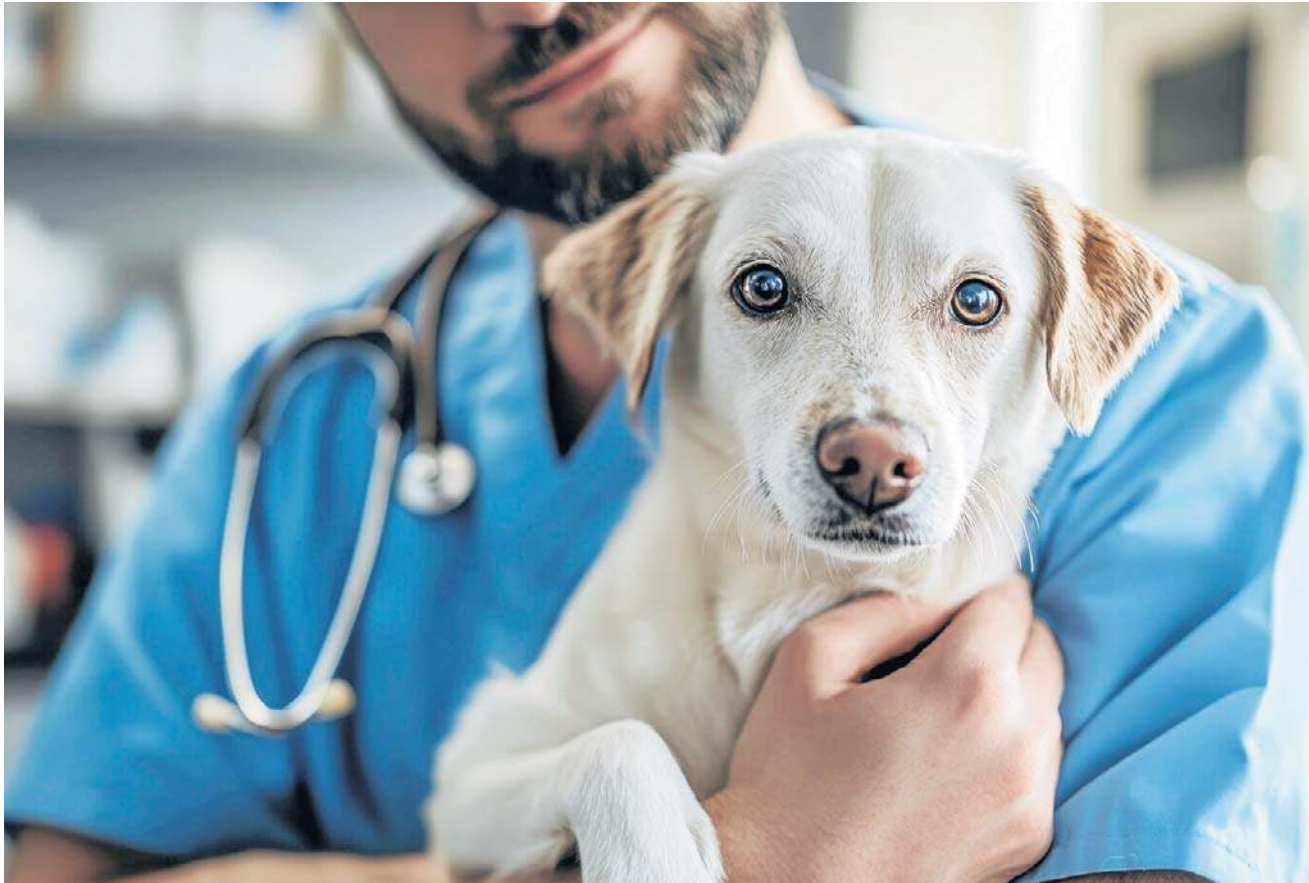
Wiesław, szczuplutki, wysoki, po sześćdziesiątce nie brał kredytu, ale żeby zdiagnozować Maksa, sprzedał samochód. Pies źle się czuł, kaszlał, słabł w oczach. Chodził z nim od weterynarza do weterynarza, zrobił dziesiątki badań. W końcu okazało się, że to zwłóknienia na płucach. Maksa nie da się wyleczyć, można polepszyć komfort jego życia. Tyle.

- Dzisiaj wizyta u weterynarza zaczyna się od dwustu złotych, ale ja najczęściej płaciłem po trzysta, czterysta, bo lekarz zawsze coś przy Maksie robił. Do tego badania, leki, zabiegi. Tak naprawdę nawet nie wiedziałem, za co z wyszczególnieniem płacę, po prostu dostawałem rachunek i tyle - opowiada. Wiesław to znany w okolicy grzybiarz, kiedyś po lesie biegał z Maksem, dzisiaj na spacerzy chodzi sam. Maks jest bardzo słaby, wychodzi na podwórko, robi siusiu i natychmiast słania się na nogach. Ale chce żyć, je, przymila do właściciela.

Posiadanie psa czy kota to nie tylko wspólne spacery, przytulania, przekomarzania, ale i spory wydatek. Nie wszystkich stać na to, aby zwierząka wyżywić, a co dopiero leczyć. Dlatego niektórzy pozbywają się swoich mniejszych przyjaciół, albo, kiedy te chorują, nie idą do weterynarza.

Nie z okrucieństwa, z braku pieniędzy. 4 października obchodzimy Światowy Dzień Zwierząt, trzeba o tym pisać

Dorota Kowalska



Weterynarze doskonale zdają sobie sprawę, że właściciele psów czy kotów zrobią wszystko, by je ratować

DROGIE NASZE ZWIERZAKI. KIEDY PIES STAJE SIĘ DOBREM LUKSUSOWYM

- Nie będę go męczył. Jeśli weterynarz uzna, że czas Maksa uśpić, zrobię to - deklaruje i smutnieje. Nie z powodu wydanych pieniędzy. Kocha tego zwierząka.

Anna też chodziła kiedyś do lasu z Kapslem. Dzisiaj robi

kółeczko wokół bloku. Trzy miesiące temu wrócili do domu, a Kapsel, 8-letni mieszaniec, leżał i nie mógł się podnieść. Wzięli go na ręce, zawieźli do całonocowej kliniki weterynaryjnej.

- Okazało się, że wypadł mu dysk. Operacja miała kosztować 9 tys. Zapytałam weterynarza, jaka jest gwarancja, że po operacji Kapsel będzie zdrowy. Nie było żadnej. Zdecydowaliśmy się na blokadę - opowiada. Za dwudniowy pobyt Kapsla w psim szpitalu, badania, leki zapłacili około 3 tys.

Psiak chodzi i wciąż zaczepia inne psy w okolicy. Kiedy po godzinie wychodzę z lasu - spotykam tych, którzy wchodzi do niego ze swoimi psiakami. Ci sami ludzie, te same psy. Wszyscy się tu znają, pozdrawiają, rozmawiają ze

sobą. Kiedy trzeba, ostrzegają się wzajemnie. Późną wiosną wchodząc do lasu zobaczyłam kartkę przywieszoną do drzewa: „Uwaga, po lesie grasuje stado dzików, lochy są bardzo agresywne. Atakują psy i ludzi”. I rzeczywiście, kilka dni później spotkałam Adama, właściciela czarnego labradora i suczki, która w zaroślach natchnęła się na dziki - nieźle ją pokiereszowały. Weterynarz stwierdził, że cudem przeżyła. Założony przez niego szew ciągnął się przez pół pyska. Adam nie liczy pieniędzy, które wydał na leczenie czworonoga w ciągu dwóch tygodni. Najważniejsze, że sunia żyje. Co miał zrobić? Zostawić psa w lesie? Pozwolić mu umrzeć?

- Powiem tylko tyle: To granda, tak nie powinno być. I bardzo mi przykro z tego powodu - mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt. Nie chce rozwijać tematu.

Oddać psa
Bo prawda jest taka, że dzisiaj nie każdy może sobie pozwolić na posiadanie psa czy kota. I nie chodzi o wielkość mieszkania, wolny czas, ale o pieniądze. Wizyta u weterynarza to spory wydatek, czasami szokujący dla właścicieli czworonogów. Ci często bywają rozdarci: chcą pomóc pupilom, ale najzwyczajniej w świecie nie mają na to pieniędzy. Czasami podejmują drastyczne decyzje.

Najgorzej było tuż po pandemii: rosły ceny zabiegów weterynaryjnych, galopowała inflacja, a schroniska wypełniały się zwierzętami. Ich pracownicy opowiadali historie emerytów, którzy ze łzami w oczach, a czasami po prostu płacząc, oddawali im swoje stare, często schorowane pociechy. Nie starczało im pieniędzy na karmę, a co dopiero na lekarstwa. Dramat.

- To prawda, coraz mniej osób stać na to, żeby utrzymać kota lub psa, a w razie choroby zapewnić mu leczenie weterynaryjne - przyznaje Joanna Repel, rzeczniczka prasowa Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Dlatego pomagają jak mogą. Co miesiąc dostają kilkadziesiąt wniosków z prośbą o dofinansowanie leczenia jakiegoś konkretnego zwierzęcia. Oprócz leczenia, wydają najbardziej potrzebującym karmy dla ich pociech, dokarmiają bezdomne psy i koty. Widzą, że jest źle, coraz gorzej.

- Z roku na rok coraz więcej osób zwraca się do nas z prośbą o pomoc finansową w związku z ich zwierzętami. Chodzi o ich leczenie, ale też wyżywienie - podsumowuje Repel.

W ich oknach życia, bo takie stworzyli, wciąż znajdują pozostawione zwierzęta. Takie okna są tylko u nich, dlatego

przyjeżdżają tu ludzie z całej Polski. Trzeba wejść do budynku KTOZ i tam rozstać się ze zwierzęciem, ale często właściciele nie mają odwagi spojrzeć im w oczy. Zostawiają psiaka przywiązanego do pobliskiej barierki.

Walczą do końca

Nie każdy potrafi. Niektórzy traktują psy i koty, jak równoprawnych członków rodziny. Żyją wśród zwierząt, nie obok nich, z nimi. I wydają na zwierzęta wszystkie pieniądze.

- Zwierzęta zawsze były ze mną. Zarówno fizycznie, jak też metafizycznie. Choćby w postaci opowieści o tych wszystkich psach, kotach, wieściach, a także kurach, które - oswojone, kochane, tulone - przewijały się przez historię mojej rodziny - opowiada Mira Suchodolska, dziennikarka, publicystka, obecnie w Polskiej Agencji Prasowej.

Jak opowiada pies Amor wychował jej matkę, Wandę Suchodolską-Paszkę, która ubierała Amora w ciuszki niemowlaka, wsadzała go do wózka dla lalek i wozila wokół domu. A Amor sapał i się ślinił, ale robił wszystko, żeby zadowolić swoją małą opiekunkę. Po latach ta psia opiekunka została uwielbianą przez uczniów nauczycielką.

- Kiedy miałam jakieś pięć lat, uczennica mojej mamy przyniosła nam szczeniaka. Był bardzo waleczny, z charakterem, dostał na imię Kuba. Z Kubą był taki problem, że rzucał się na łydki przyjaciółek mojej babuni - opowiada. Mały piesek, biały w czarne łaty, siał postrach w okolicy. Kiedyś dobrał się do sztucznej szczęki babuni.

Po psie Kubie było jeszcze wiele innych psiaków. Zazwyczaj ratowanych ze złego otoczenia, przegarnianych bezdomniaków. Przychodziły i odchodziły. Za każdym z nich płakała, obiecywała sobie, że już nigdy więcej.

- Tyle że życie bez psa to nie jest życie - wzrusza ramionami.

Kiedy przeniosła się ze Śląska do Warszawy, postanowiła, że wybuduje dom. Dla rodziny, ale głównie dla wymarzonego zwierzaka. Z ogrodem, żeby ten miał gdzie biegać. I tak się stało.

- W naszym życiu pojawiła się Kira, labradorka - opowiada. Sąsiedzi byli przerażeni: nowy dom, nowy trawnik, a suka biega wokół budynku, jak oszalała, wydeptując ścieżki.

- Pies powinien spać w budzie - tłumaczyli.

Żeby się lepiej wpasować w tło, zakupili budę. Dużą. Ale Kira nie przespala w niej ani jednej nocy, może bezdomne koty się w niej czasem zatrzymywały. Kira była łóżkowym psem. Miała 10 lat, kiedy za-

chorowała. Nerki zaatakował gronkowiec antybiotykoodporny. Wydzwaniała po specjalistach, walczyła o psa przez pół roku. Nie było ratunku.

- Ile wydałaś na leczenie Kiry? - dopytuje.

- Kupiłabym za to samochód - przyznaje.

Szybko okazało się, że chodzenie po lesie bez psa nie ma sensu. Nie minął miesiąc, kiedy w jej domu pojawiła się Amba. Blachara, dziewczyna z blokowiska. Jeśli komusь wydaje się, że każdy labrador jest słodkim psiakiem, takim, jak je postrzegamy z amerykańskich filmów familijnych, jest w błędzie. Jeśli wziąć pod uwagę światowe statystyki, to największą pogryzień ludzi przez psy jest autorstwa właśnie labradorów i retrieverów. Głównie w USA, ale nie tylko. Dlaczego? Z tego samego powodu, dla którego ratlerki, yorki, buldożki nie są traktowane przez swoich opiekunów poważnie. Natomiast każdy pies, niezależnie od swoich gabarytów, bardzo poważnie podchodzi do swojego stada. Właśnie tak stada. Bo psy są zwierzętami stadnymi. Tak samo, jak wilki, z których się wywodzą. W stadzie natomiast obowiązuje zasada, że musi mieć ono swojego szefa, który nadaje kierunek, wprowadza zasady, jakimi stado się kieruje.

Obecnie w jej domu żyją trzy psy (dwa labradory i dog niemiecki, plus dwa koty). I towarzystwo się nawzajem szanuje. Ale to ona ustala zasady.

- Saszka, dog niemiecki, pojawiła się w naszym życiu przypadkiem - opowiada Mira. - Jest psem z fundacji. Pewnego dnia obudziłam się, wzięłam do ręki smartfona i zobaczyłam tę czarną, nieco posiwiałą, psią twarz o przesmutnych oczach - opowiada.

Przeszłość tej suki w typie doga niemieckiego, była trudna, ekstremalnie. Pies był bity, głodzony, ponad dwa lata spędził w klatce, bez chociażby ściery, na której mógłby się położyć.

- Przyszło do mnie dzikie, przestraszone stworzenie. Sasza nie umiała chodzić po schodach, nie umiała się bawić, niczego nie umiała. Dzisiaj mam psa, który nie tylko mnie kocha, jest w stanie przejechać z mną w dym, ale przede wszystkim mam najlepszego przyjaciela. Ułożoną, kochaną Saszkę, której nie muszę się wstydzić, gdziekolwiek jestem - wzrusza ramionami dziennikarka.

Też o nią walczy. U Saszy zdiagnozowano nowotwór. Nie można go usunąć. Ale Sasza, jak Maks, wciąż chce żyć: chodzi na spacer, je, bawi z pozostałymi psami. Raz, dwa razy w miesiącu jeździ z nią do znanego psiego onkologa. Za każdą wizytę płaci 1300 złotych.

- Trochę mnie ta suma zszokowała - przyznaje. - Wetery-

narz chyba dostrzegł moje zdumienie, bo powiedział: „Ja panią kosztuję 300 złotych”. Pokazał wyliczenia, reszta to cena leków, które Sasza przyjmuje - opowiada Mira.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie wszystkich stać na taki miesięczny wydatek, że ludzie pozbywają się psów i kotów, albo najzwyczajniej w świecie, kiedy są chore, nie leczą ich i pozwalają umrzeć. Nie z okrucieństwa, z braku pieniędzy.

Weterynarze protestują

Ostatnio o usługach weterynaryjnych zrobiło się głośno za sprawą dziennikarki Moniki Richardson. Paco, ukochany spaniel, którego Richardson miała od dwóch lat, zjadł gumową zabawkę. Został zawieszony do całodobowej kliniki weterynaryjnej, z częścią szpitalną. Po czterech godzinach, jak pisze Monika Richardson, Paco zmarł, nie udało się go uratować.

Pierwszy wpis w mediach społecznościowych był smutnym pożegnaniem pupila. W kolejnym poście prezen-terka opublikowała informacje o klinice, imię i nazwisko jej dyrektora i „zestawienie sprzedaży”.

Z rachunku wynika, że Richardson zapłaciła łącznie prawie 1853 złote, z czego 300 złotych to cena kremacji zwierzęcia, kolejne 300 złotych kosztowała konsultacja, a sześciogodzinna hospitalizacja - 130 złotych. Pozostałe składowe ostatecznej kwoty to różnego rodzaju leki i zastosowane środki terapeutyczne.

„Wiecie, ja się nie znam oczywiście, ale wydaje mi się, że czegoś tutaj zabrakło. Jakieś elementarnej przyzwoitości, odrobiny empatii. Mam wrażenie, że coś się zepsuło podczas zamiany pacjenta na klienta, a opis leczenia na „raport sprzedaży”” - napisała prezen-terka.

Post wywołał prawdziwą burzę. Zareagowali lekarze weterynarii.

„Ale w czym jest problem? Że jako lekarze weterynarii nie ratujemy za darmo? Że leki kosztują, usługi kosztują, a zdjęcie wykazu leków i wykonanych usług z programu »klinika« jest suche i nie ma tam kondolencji? Mam nadzieję, że pomimo tak podłego postu sugerującego nieprofesjonalne zachowanie lekarza następnym razem kolejny nie odprawi pani z kwitkiem.

Dzięki takim osobom jak pani i takim komentarzom, na-gonce, hejtowi, ludzie zapominają, że pracujemy w lecznicach nie tylko dla przyjemności, ale, uwaga: pracujemy, bo to nasz zawód i źródło utrzymania naszych rodzin” - napisała jedna z osób korzystających z Instagrama. Inni wypowiedzieli się w podobnym tonie.

Środowisko weterynaryjne wydało oficjalny komunikat i zażądało od dziennikarki usunięcia wpisów oraz przeprosin, ale przeprosin nie było. Krajowa Izba Lekarsko-Weterynaryjna wydała właśnie oświadczenie, w którym poinformowała, że 25 września sprawa trafia na wokandę. Powodem są między innymi mocne słowa Richardson, która miała porównać wszystkich lekarzy weterynarii do „zorganizowanej szajki, która nie cofnie się przed niczym”.

Witold Katner, rzecznik Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej, w odpowiedzi na pytania TVN24 podkreślił, że opublikowany przez Monikę Richardson rachunek „nie odbiega od standardowych cen rynkowych stosowanych w przypadku intensywnej terapii psa w stanie zagrożenia życia”.

- Należy pamiętać, że całodobowe zakłady lecznicze dla zwierząt świadczą usługi weterynaryjne wymagające natychmiastowego działania, zaawansowanej diagnostyki, obecności zespołu specjalistów oraz specjalistycznego sprzętu - co znajduje odzwierciedlenie w kosztach leczenia - tłumaczył Katner. I dodał, że ceny usług weterynaryjnych w Polsce „są wyraźnie niższe niż w większości krajów Unii Europejskiej, przy zachowaniu porównywalnego poziomu zaawansowania technologicznego, zakresu usług oraz kwalifikacji lekarzy weterynarii”.

Sprawę komentowali właściciele psów, wśród nich dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska.

- Zanim to się stało modne, traktowałam moje zwierzęta jako członków rodziny, o które zdrowie dbać po prostu trzeba. Opieka nad zwierzętami nie podlega pod NFZ, leki i diagnostyka kosztują - mówiła Plejadzie. - Richardson świadomie, cynicznie i z rozmysłem nakreśliła straszny hejt na grupę zawodową, która podlega ogromnym obciążeniom, co trzeci z nich ma wypalenie zawodowe, ilość samobójstw wśród weterynarzy jest rekor-

dowa. Nie przez zwierzęta, ale przez ich koszmarnych „opiekunów”, którzy zachowują się haniebnie, roszczeniowo, bez empatii - dodała.

Bez wyjścia

Jarosław Falkowski od 15 lat prowadzi w Legionowie swoją prywatną praktykę, od 25 lat leczy zwierzęta. Ma kilka tysięcy pacjentów, dziennie przyjmuje ich około setki.

- Skąd takie ceny usług weterynaryjnych? - dopytuje.

- Po pierwsze, ceny leków weterynaryjnych są zdecydowanie wyższe niż tych ludzkich. Poza tym, te leki nie są refundowane. Kolejna sprawa: musi pani wziąć pod uwagę, że my działamy trochę jak prywatna medycyna ludzka. Ile pani płaci idąc na prywatną wizytę do kardiologa, czy ginekologa? No właśnie! - tłumaczy.

Podobnie jest z badaniami, u ludzi - niektóre są refundowane przez NFZ, inne nie. U zwierząt takiej refundacji nie ma. Poza tym weterynarz musi kupić aparat do badania krwi, czy moczu. Koszty idą w dziesiątki tysięcy złotych. Podobnie sprawa wygląda z innym medycznym sprzętem. Do tego dochodzą pozwolenia - za to wszystko muszą płacić z własnej kieszeni.

- Następna bardzo istotna rzecz: tak naprawdę lekarz weterynarii jest lekarzem ogólnym. Jestem chirurgiem, proktologiem, ginekologiem, robię cesarskie cięcia, przyjmuję internistycznie, przeprowadzam operacje. W medycynie ludzkiej doszło do bardzo wąskiej specjalizacji - tłumaczy.

- I jaki to ma wpływ na ceny usług weterynaryjnych? - pytam.

- Musimy cały czas się szkolić. Jeżeli jadę na kurs weekendowy, to muszę za niego zapłacić 5 tys. zł, do tego przenocować 2 dni w hotelu, coś zjeść. Tak naprawdę wydaję około 7 tys. zł, jakoś te pieniądze trzeba odzyskać, prawda? - odpowiada doktor Falkowski.

I dodaje, że ceny usług w jego lecznicy nie zmieniły się od 2 lat, tymczasem horrendalnie w górę poszły ceny leków, a zgodnie z ustawą farmaceutyczną weterynarze mogą używać leków ludzkich, jeżeli nie ma ich odpowiednika weterynaryjnego.

- Dam taki przykład: padaczkę u zwierząt leczylimy kiedyś ludzkim lekiem przeciwpadaczkowym, który jest stosunkowo tani. Odkąd jednak pojawiły się jego odpowiedniki weterynaryjne, zgodnie z ustawą nie możemy już tego robić, podobnie jest chociażby z niedoczynnością tarczycy u zwierząt - tłumaczy.

Dlaczego leki weterynaryjne są droższe? Firmy farmaceutyczne decydują o ich cenie, poza tym, o czym już było, nie ma za nie żadnej refundacji.

- Jeśli chodzi o diagnostykę, medycyna weterynaryjna w ciągu ostatnich 20 lat zrobiła milowy krok do przodu, tylko zasobność portfela naszego klienta się nie zmieniła - konstatuje doktor Falkowski.

Tak, nie ma stałego cennika usług weterynaryjnych, bo jak tłumaczy, u weterynarzy obowiązują ceny umowne. Przecież inne są koszty utrzymania lokalu w Warszawie, a inne w Wyszkowie.

Oczywiście, weterynarze zdają sobie sprawę, że jest problem. Niemal codziennie ma w gabinecie ludzi, których nie stać na leczenie swoich zwierząt. Jak im pomóc? Pewnym wyjściem jest polisa dla psa czy kota, bo dzisiaj można już ubezpieczyć zwierzęta i otrzymać zwrot kosztów ich leczenia. Problem polega na tym, że nie wszyscy ubezpieczyciele chcą ubezpieczać zwierzęta stare, a to z nimi najczęściej chodzi się do weterynarza. Czasami też nie chcą zwracać pieniędzy, zgłaszając zastrzeżenia do przedstawionych dokumentów.

Ludzie radzą sobie więc jak potrafią. Zapożyczają się, przeprowadzają internetowe zrzutki na leczenie swoich pupili. Oni, lekarze, też kombinują: tną koszty, wybierają półśrodki. Starają się jakoś problemowi zaradzić, ale nie są w stanie sponzorować leczenia swoich klientów. Tak, słyszał o historii Moniki Richardson. Sam też ma przeróżnych klientów.

- Jako grupa zawodowa jesteśmy w czołowie ludzi popełniających samobójstwa, bo my naprawdę lubimy to, co robimy, powiem więcej - kochamy swoją robotę, natomiast kontakt z właścicielami naszych pacjentów jest mega trudny - przyznaje.

Pewnie, są wśród nich osoby nieuczciwe, dla których najważniejsze są pieniądze. Weterynarze doskonale zdają sobie sprawę, że właściciele psów czy kotów zrobią wszystko, by je ratować i skrupulatnie to wykorzystują, ale w każdym zawodzie, jak tłumaczy, znajdują się czarne owce. Większość kolegów, których zna, żyje swoją pracą i to zwierzęta są dla nich najważniejsze.

- Więc jakie jest wyjście z tej sytuacji? - pytam.

- Nie ma z niej wyjścia. Systemowo nie da się jej rozwiązać, bo nie można prawnie zakazać komusь kupna zwierzęcia, jeśli chce je posiadać, a nie każdy powinien być właścicielem psa czy kota - pada odpowiedź.

Można jedynie apelować o przemyślane decyzje. Kiedy zapraszamy zwierzaka do swojego domu, ten staje się członkiem rodziny. Musimy go kochać. Dbać, by miał co jeść, pić, by dobrze się czuł w naszym towarzystwie. Troszczyć, kiedy zachoruje. Być cierpliwym, kiedy posiwieje. I pamiętać, że może liczyć tylko na nas.

*ŁUDZIE RADZĄ SOBIE WIĘC JAK
POTRAFIĄ. ZAPOŻYCZAJĄ SIĘ,
PRZEPROWADZAJĄ INTERNETOWE
ZRZUTKI NA LECZENIE
SWOICH PUPILI*

BARTŁOMIEJ TOPA: WARTO CZASEM SPOJRZEĆ W LUSTRO, ABYŚMY SIĘ W NIM PRZEJRZELI Z NASZYM WADAMI I ZALETAMI

Kostiumowy serial „1670” w serwisie Netflix bije wszelkie rekordy popularności. Komediove ukazanie sarmackiej Polski okazało się strzałem w dziesiątkę. Do sukcesu tego przyczynił się na pewno Bartłomiej Topa wcielający się w groteskowego szlachcica Jana Pawła Adamczewskiego. Rozmawialiśmy z aktorem o tym, jak sprawił, że choć jego postać jest sumą wad narodowych Polaków, to wszyscy ją uwielbiają

Patryk Gzyl

W jednym z wywiadów powiedział pan o aktorstwie: „Nigdy nie przypuszczałem, że ten zawód przyniesie mi tyle radości”. To za sprawą takich produkcji, jak „1670”? Między innymi. Aktorzy pracują w obszarze dosyć radykalnych obecności. Wchodzimy w buty charakterów, które czasami są mroczne, a czasami świetliste. Im bardziej ta paleta barw jest szeroka, tym ciekawiej dla nas. Poruszając się w tym obszarze, staramy się w pełni oddać obraz ludzkiej duszy. To fascynujące i fenomenalne. Przy okazji mamy przy tym dużo zabawy i frajdy. W tym przypadku wydarzyło się to przy wsparciu fenomenalnej ekipy z wszystkich pionów i moich fantastycznych partnerów na planie. Dzięki takim ludziom dzieją się takie rzeczy, które są silne w swoim wyrazie, a potem – silne w odbiorze.

No właśnie: pierwszy sezon „1670” spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. To właśnie ten sukces zdecydował, że podjęto decyzję o realizacji drugiego sezonu?

Nie znam szczegółów, natomiast wiem, że czekaliśmy z ostatecznymi decyzjami do premiery pierwszego sezonu. Nie wiedzieliśmy więc tak do końca, czy będziemy robić kontynuację. Być może prace literackie zostały podjęte już wcześniej – ale jak to dokładnie było, trzeba by zapytać producenta Janka Kwiecińskiego.

Kolejne sezony popularnych seriali są często słabsze niż te

pierwsze. Nie obawiał się pan, że i tutaj tak będzie?

Wszyscy jesteście oczywiście krytycznymi widzami i chcielibyśmy, aby to, co jest już znane i lubiane, można było dalej poznawać w bezpiecznej pozycji, siedząc sobie w domu na fotelu i wsuwając popcorn. Ja nie chciałbym w żadnym wypadku wartościować, który sezon jest lepszy. Po przeczytaniu scenariusza drugiego sezonu miałem poczucie, że Adamczyska się rozrasta w bardzo wielu wymiarach: w obrazie, w świetle, w barwach, w charakterach, w relacjach międzyludzkich. Jak w pierwszym sezonie brodził się po kolana w błocie, tak teraz mamy kurz, gorąc i słońce, które generalnie nam bardzo służyło, ale momentami również mocno doskwierało, bo pracować w 35-stopniowych temperaturach nie jest łatwo. Mam więc wrażenie, że to, co wydarzyło się w pierwszym sezonie, w drugim jest trochę szersze, wyższe, głębsze, bardziej zróżnicowane, ale też bardziej odważne w wyrazie aktorskim i w obrazie.

Drugi sezon wydaje się też mieć momentami bardziej poważny ton niż pierwszy. Odpowiadało to panu?

Kiedy wchodzi się na pewien poziom dowcipu i abstrakcji, bardzo kusząca jawi się zabawa różnymi gatunkami. I tak też się tutaj stało. Mieliśmy świadomość tego, że niektóre sceny są napisane bardzo dramatycznie i chyba trzeba je tak zagrać, po to,

żeby wprowadzić widza nie tylko w ten rodzaj śmiechu, który wywołuje poślizgnięcie się kogoś na skórcie od banana, ale też w to, że za rogiem czeka na tej drodze jakaś powaga i mroczna postać, która nas weryfikuje w naszych postawach życiowych. Cała relacja matki z córką, ojca z synem, rozpadająca się rodzina – wszystko to nie jest łatwe dla starych Adamczewskich. Rozmawialiśmy o tym ze sobą i z reżyserem i wszyscy wspólnie poszliśmy w tę stronę, bo uznaliśmy, że to są rzeczy ważne do powiedzenia. Chcieliśmy po prostu podsyłać prochu z trochę innej beczki. Mam wrażenie, że to był dobry kierunek.

O ile pierwszy sezon „1670” kpił z naszych narodowych wad, tak drugi obśmiewa bardziej przywary współczesnych Polaków. Spodobało się panu, że scenarzyści poszli tym tropem?

Nie chcieliśmy wchodzić w te same, już zschodzone buty. Ale tym razem pokazujemy, że interesuje nas inny świat, inne kontynenty i to, co się dzieje z nami Polakami podczas takich podróży. Stąd w pierwszych odcinkach wyjazd all inclusive rodziny Adamczewskich do Turcji. Wszystkim nam znane są obrazki z tamtejszych hoteli, z tego, co się dzieje przy stołach i na placach, albo po wyjściu z samolotu. To tematy, które są nam bardzo bliskie. Czasami nie chcemy się przyznać do takich zachowań, bo nie mamy pojęcia, jak inne narody pracują i że

mogą współżyć ze sobą. Wydaje nam się, że jesteśmy najważniejsi i to nasze polskie ego bucha na wszystkie strony. Oczywiście nie można generalizować. Przez to, że od ponad trzydziestu lat otwieramy się na innych i wyjeżdżamy za granicę, poznajemy inne kultury i zaczynamy inaczej postrzegać świat. Z drugiej strony wreszcie doceniamy rodzime krajoobrazy, które mamy w Polsce, bo są przecież unikatowe na skalę światową. I to jest piękne. W „1670” śmiejemy się z tych naszych zachowań, które są groteskowe, bo wydaje się nam, że warto czasem spojrzeć w lustro, abyśmy się w nim przejrzeliby z wszystkimi wadami i zaletami.

A miał pan okazję brać udział w takim szalonym wieczorze kawalerskim w Krakowie, w jakim biorą bohaterowie drugiego sezonu serialu?

Ubolewam, ale niestety nie. (Śmiech) Byłem na kilku wieczorach kawalerskich w latach 90., kiedy wylądowałem w Warszawie, ale to inne czasy. Potem nie było mi to już dane. Dziś, prawdę powiedziawszy, nie ciągnie mnie do takich imprez, mam do tego dystans. Natomiast zabawa w serialu była naprawdę przednia.

Finał drugiego sezonu to ciekawy komentarz do tego, co się dzieje w polskiej polityce z walką na przysłowiowe „haki” i kielbasą wyborczą w rolach głównych. Zgadza się pan z tą bezlitosną diagnozą?

Nie chcę tu wchodzić w politykę, ale te teksty, które napisał scenarzysta Jakub Rużyłło, to jest nasze dobro narodowe. Toż to prawdziwy wieszcz! Weźmy choćby liczenie głosów, walkę o stanowiska czy rozdawanie kielbasy wyborczej. To niezwykle wgląd w naszą rzeczywistość i ogromna wrażliwość społeczna autora tych tekstów, który miał na ten temat naprawdę bardzo dużo do powiedzenia. Pracując nad tymi scenami, nie mieliśmy zielonego pojęcia o tym, co się wydarzy za rok. Kończyliśmy zdjęcia w zeszłym roku i do wyborów prezydenckich było jeszcze dużo czasu. Dlatego dopiero później okazało się, jak Jakub przewidział przyszłość.

Zagrał pan Jana Pawła tak, że mimo iż jest egoistą i megalomanem, to lubimy go i chcemy, żeby jego plany się powiodły. Jak to się robi?

Zawsze podchodząc do tego, co mam na stole w scenariuszu, bardzo zabiegam, aby zachować w mojej postaci jakąś równowagę człowieczeństwa. W przypadku Jana Pawła spodobała mi się ta jego dziecięca naiwność i cudna głupota. I to mi mocno przyświecało. Jan Paweł jest dzieckiem w skórze dorosłego faceta i dlatego popełnia totalne błędy. Mimo tego wszystkiego chcemy go lubić, bo jest przy tym otwarty i prawdziwy, wierzy głęboko w słuszność swych osądów i decyzji. Mało tego: mam wrażenie, że jest przy tym zaskakująco refleksyjny. Od czasu do czasu odchodzi na bok nad jezioro Adamczewskie i tam, dumając, spogląda w głąb siebie. Zastanawia się kim jest, jak chce się definiować w swej rodzinie i wsi. Jasne – ma wybujałe marzenia, ale kto ich nie ma? Każdy się rozpycha w swoim środowisku, chce robić karierę, jeden po trupach, drugi – spokojniej, czekając na swój moment. Tych ścieżek jest tyle, ile charakterów. Bardzo lubię obserwować, jak ludzie dochodzą do swoich sukcesów zawodowych czy życiowych. To coś fenomenalnego. Jedni uważają, że sukcesem jest piękna i dobra rodzina, która potrafi się porozumieć, mimo tego, z czym się mierzymy na co dzień. Dla drugiego będzie to z kolei szybki samochód. Tak jak mówi to jedna z dziewczyn, które przyjechały z miasta Wilanów na wieś w pierwszym sezonie „1670”: „Interesują mnie faceci, konie i szybkie bryki” (śmiech)

Powiedział pan kiedyś, że najbardziej ceni Jana Pawła za jego stosunek do rodziny – za to, że stara się ją trzymać razem mimo różnych prze-

ciwności. Tymczasem pod koniec drugiego sezonu „1670” ta rodzina mu się rozpada. To też odbicie tego, co dzieje się współcześnie?

Tego nie wiem. Trzeba by zapytać socjologów czy psychologów społecznych i oprzeć się na jakichś statystykach. Ale mam wrażenie, że czasami są w naszych sercach i głowach ważniejsze tematy niż rodzina. Dlatego ten rodzinny wszechświat, który z mozołem budujemy, a który jest moim zdaniem i zdaniem scenarzystów najważniejszy, zostaje przez niektórych spychany na bok. Bo to pieniądz, kariera i stanowiska są dla nich priorytetem. Cóż – pewnie każdy przyłoży swoją matrycę do tego, co pokazujemy w drugim sezonie „1670” i zauważy to, co jest dla niego ważne. Będziemy to pewnie wartościować za jakiś czas, za tydzień czy dwa, kiedy obejrzymy cały drugi sezon. Moim zdaniem trafnie wyczuwamy nastroje społeczne i to, co jest, a co nie jest istotne dzisiaj dla Polaków i zwracamy uwagę na kluczowe sprawy.

Widzów zawsze ciekawi, czy aktor odnajduje jakąś część siebie w granej postaci. Jak jest z panem i Janem Pawłem?

Tak jak powiedziałem na początku, myślę, że ten zakres osobowościowy, na którym pracuję, jest bardzo różnorodny. Moim narzędziem pracy jest moje ciało i moje emocje. Dlatego ta robota nad sobą jest kluczem do tego, żeby wiarygodnie i transparentnie przedstawić daną postać. W przypadku Jana Pawła szukam w sobie różnych ciekawych elementów – naiwności, głupoty, nieroztropności, zakłamania czy wypierania pewnych sytuacji. Obserwuję świat, widzę różne pokusy wewnętrzne, rozmawiam z samym sobą dosyć często. I taka właśnie obserwacja jest najlepszym tworzywem do lepienia tych moich postaci, w ramach którego nie waham się wykorzystywać nawet najtrudniejszych cech, z którymi się mierzę w swoim wnętrzu. Próbuję przy tym oczywiście zachować dystans do swego bohatera. Nawet jeśli wchodzimy w mrok i jesteśmy w tym super wiarygodni – bo na tym zawsze mi zależy – to na drugi dzień zawsze jest bardziej słonecznie i wtedy nawet współczujemy temu bohaterowi i jesteśmy z nim, bo tak naprawdę spotykamy się z tymi samymi tematami w swoim życiu. On sobie tak to załatwia, a ja trochę inaczej. On wymyśla takie rozwiązania, sięga po takie inspiracje, poddaje takie sugestie, a ja – inne. Nie chciałbym, abyśmy się oczywiście wzorowali na Janie Pawle, ale to rozpoznawanie w nim własnych cech i zachowań, bywa momentami bardzo śmieszne.



FOT. MATPRAS, NETFLIX/JAROSŁAW SOSINSKI

Bartłomiej Topa: Uwielbiam absurdalny humor i czuję się dobrze w takiej konwencji, bo mam sporo dystansu do życia i świata. Żyjemy teraz w trudnym dla nas wszystkim momencie, więc chyba dobrze się stało, że możemy obejrzeć „1670” i trochę uśmiechnąć się i odreagować

To dlatego mówi pan o Janie Pawle: „Ta rola to dla mnie niewątpliwym prezent”?

Tak ją postrzegam. Ostatnio trudno mi było znaleźć materiał, który sprawiłby, że tak bardzo mi się chce. Tu się tak stało. Na początku nie byłem nastawiony jako hura optymista i nawet odmówiłem zagrania w tym serialu po pierwszej lekturze scenariusza. Ale z biegiem czasu i po rozmowach z producentami – a dziś moimi wspaniałymi przyjaciółmi – postanowiłem zaryzykować i to ryzyko się opłaciło. Myślę, że wielu z nas z tej filmowej rodziny, która stworzyła „1670”, miało podobnie. Wszyscy zaryzykowaliśmy – i to jest niezwykle, że każdy, kto miał okazję obserwować naszą robotę na planie przez te ostatnie kilka lat, nigdy nie usłyszał jakiegokolwiek narzekania. Kiedy pojawia się jakiś problem czy konflikt, jest momentalnie rozwiązywany. Idziemy na bok i tak długo gadamy, aż uzyskamy jakiś kompromis. To jest naprawdę unikalne. Praca z taką ekipą „szaleńców”, to dla mnie totalny przywilej.

„1670” pozwolił panu wreszcie w pełni zabłysnąć w komedii. Wydaje się, że czuje się pan w tym żywiole jak ryba w wodzie. Tak jest rzeczywiście?

Uwielbiam absurdalny humor i czuję się dobrze w takiej kon-

wencji, bo mam sporo dystansu do życia i świata. Żyjemy teraz w trudnym dla nas wszystkim momencie, więc chyba dobrze się stało, że możemy obejrzeć „1670” i trochę uśmiechnąć się i odreagować. Dzięki temu zachowujemy jakąś równowagę. W związku z tym ta komedia jest dzisiaj we mnie bardzo silna i stanowi ważną część mojego życia. Po prostu znalazłem w niej taki środek wyrazu, w który mogę wpisać swoją niezgodę na otaczający mnie świat.

Ten humor czasem jedzie mocno po bandzie – jak w scenie z ekskrementami w pierwszym sezonie. Nie przeszkadzało to panu?

To fakt, ten dowcip jest tutaj ostry, a momentami nawet wulgarny. Tak jak w trzecim odcinku drugiego sezonu, kiedy puszcza bąki. Ale kiedy cały świat jest nadęty, puszczenie bąka fajnie rozluźnia sytuację. Spuszczamy w ten sposób z tego balonu powietrze nadmuchane do granic. W YouTube można zobaczyć filmik sprzed wielu lat z Dustinem Hoffmanem, kiedy to promował „Rain Mana” i podczas wywiadu gdzieś we Francji puścił takiego bąka, że wszyscy byli zdziwieni, o co chodzi. Cóż – jesteśmy tylko ludźmi i czasem taki bąk może się nam wyrwać. (Śmiech) Oczywiście po-

dejrzewan, że Hoffmanowi nie wyrwało się, tylko zrobił to świadomie. I my też używamy różnych środków i narzędzi, żeby trochę spuścić z tonu. Żeby zawołać: „Hej, chłopaki jest pora obiadu, odłóżmy na chwilę broń, trzeba coś zjeść i pogadać jak ludzie!”.

Wiadomo, że komedię gra się na poważnie. Ale czy były takie momenty podczas kręcenia drugiego sezonu „1670”, że nie wytrzymywalście i pękaliście ze śmiechu?

Oczywiście, że były. Spotkania z Andrzejem Kłakiem czy Dobromirem Dymekiem są dla mnie zawsze zabójcze. Kiedy więc wiem, że mamy mieć wspólne sceny, to zdaję sobie sprawę, że może być ciężko. (Śmiech) Całe szczęście produkcja zakładała trochę więcej godzin pracy, żebyśmy jednak mogli zrealizować to, co miało być zrealizowane i mieć czas, żeby się trochę pośmiać na początku. Tak było na przykład w pierwszym odcinku drugiego sezonu w scenie tłumaczenia Jana Pawła z tureckiego na polski. Przegadywaliśmy ją wręcz kilkanaście razy przed wejściem przed kamerę, bo nie byliśmy jej w stanie wypowiedzieć z pełną powagą. Dlatego to czasem był bardzo trudny proces. (Śmiech)

Znakiem rozpoznawczym „1670” jest granie do kamery.

To rzadki chwyt w polskim kinie czy w telewizji. Trudno się było panu przyzwyczaić do tej konwencji?

Kiedy za pierwszym razem wszedłem przed kamerę i reżyser powiedział „To teraz może skomentuj, co się wydarzyło”, to strasznie mi było patrzeć wprost w obiektyw. Przecież całe życie w szkole i nie tylko byłem uczony, żeby nigdy nie patrzeć w kamerę, bo to nas skreśla. Nawet kiedy przelotnie wzrok zatrzymał się gdzieś blisko ramki, wszyscy wrzeszczeli „Boże, ty chyba spojrzaleś w kamerę!” i trzeba było powtarzać jeszcze raz. A wtedy nie było tak jak dziś, że mamy monitory i można sobie zrobić przegląd tego, co się nakręciło na miejscu, tylko trzeba było wynajmować jakiegoś małego kina i przeglądać materiały z 3-4 dni. Różnie więc to bywało. To granie do kamery – czyli łamanie czwartej ściany – jest dzisiaj już częścią serialowej popkultury, bo ostatnio często się sięga po ten chwyt. Tylko mam wrażenie, że w drugim sezonie „1670” jest trochę mniej tego gapienia się w widza i bezpośredniego komentarza. Nawet w tych dramatycznych scenach, które są przejmujące, już tego nie robimy. Pojawia się to tylko wtedy, kiedy intuicja podpowiadała nam, aby tak zrobić. Nawet nie umawialiśmy się

na to z reżyserami, tylko robiliśmy to trochę intuicyjnie. I to jest fantastyczne, bo wtedy to wychodzi naturalnie i organicznie.

W serialu są też sceny wręcz musicalowe ze śpiewem i tańcem. Jak sobie pan z tym poradził?

Otrzymałem od rodziców rozległe wychowanie: chodziliśmy z bratem i siostrą do szkoły muzycznej. Śpiewałem więc w chórach i do dzisiaj lubię śpiewać. Przed kamerą faktycznie zdarzyło mi się to robić pierwszy raz właśnie w „1670”. Ale chyba wyszło dobrze. (Śmiech)

W każdej scenie „1670” pana bohater nosi inny żupan – za każdym razem barwny i bogato zdobiony. Kostium mógł panu wejść w rolę Jana Pawła?

W drugim sezonie serialu, mój bohater jest już właścicielem całej wioski Adamczyska, więc to bogactwo widać w każdym momencie jego życia. I kreatorka kostiumów Kasia Lewińska stanęła naprawdę na wysokości zadania. Mieliśmy 16 września premierowy pokaz dwóch odcinków w Muzeum Historii Polski w Warszawie – i tam można było zobaczyć te nasze kostiumy i artefakty związane z serialem. Uwielbiam grać w tych strojach, a szczególnie w moich

żółtych butach ze skóry, które zostały uszyte przez wspaniałych warszawskich szewców. To nie są buty od sztancy, jakiegoś z papieru. Każdy szczegół faktury i wzoru jest tutaj przemyślany i z wielkim zaangażowaniem przez najlepszych rzemieślników wykonany. To element większego zjawiska: wydaje mi się, że następuje dzisiaj jakiś renesans rzemiosła po latach spychania go na margines, kiedy to weszliśmy do Europy i zawitał do nas Zachód. Design jest w idei człowieka, który wykonuje dany przedmiot, w jego umiejętnościach i wyobraźni. Kasia to wszystko ma. Na przykład wizerunek Jana Pawła na jego szlafroku był wymyślony i narysowany przez nią. Dlatego jestem dla niej pełen podziwu i uwielbiam grać w tych kostiumach.

Nosił pan postać Jana Pawła w sobie długi czas. Udało się ją panu zrzucić bez problemu?

Jeszcze tego nie wiem, bo jesteśmy teraz na etapie pracy nad trzecim sezonem. Jesteśmy już po wszystkich plenarach w Polsce. Dlatego Jan Paweł ciągle siedzi we mnie. Cały czas myślę o tej postaci, bo mam jeszcze sporo tekstu do wypowiedzenia. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wchodząc w taką rolę, będę przez dłuższy moment kojarzony z tym bohaterem. Ale to jest chyba przyjemne skojarzenie, które mnie bardzo niesie. Oczywiście, kiedyś nastąpi moment, że będę mógł pokazać człowieczeństwo w innych rolach. Myślę, że to mnie czeka i bardzo liczę, że to się stanie. Na razie jednak jesteśmy w trzecim sezonie „1670”, więc kolejny rok jeszcze będę Janem Pawłem. Zobaczymy, jak to się skończy. Teraz bardzo trudno jest mi wchodzić w inne role, więc nie robię tego póki co. Sporo gram tylko w teatrze i to bardzo mnie też zajmuje, bo takie bezpośrednie spotkanie z widzami zawsze jest dla mnie wspaniałe i ożywcze, daje mi dużo frajdy i zabawy, pozwala godnie żyć.

A jak pana najbliższym mieszkają się z Janem Pawłem?

Chyba dobrze. Kiedy pracuję, to wiadomo – nie ma mnie w domu. Ale kiedy mam wolne, to jestem z bliskimi na sto procent. Odprowadzam dzieci do przedszkola lub czytuję im codziennie bajki wieczorem przed snem. Moja partnerka miała świadomość, z kim się wiąże i wie, że praca w filmie to nie są łatwe momenty, bo ten okres zdjęciowy trwa czasem pół roku. To sporo czasu. Oczywiście są przerwy – wolne weekendy i miejsce na wakacje. Produkcja bardzo o to dba, żebyśmy mogli odpocząć, spotkać się z rodziną i pobyć z bliskimi, a potem wrócić z nowymi siłami do dalszej pracy.

Laczeło się jak w filmie. Ona rodowita warszawianka, on mieszkaniec Otwocka. Przez lata nie wiedzieli o swoim istnieniu, mimo że kiedy byli nastolatkami, ich szkoły średnie dzieliło zaledwie 5 kilometrów. Ale to dopiero 250 km od domu, w pięknym Augustowie, ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Dziś nadal patrzą w swoje oczy i w tym samym kierunku, już jako małżeństwo i szczęśliwi rodzice trzech wspaniałych córek.

Poznali się w Augustowie i tam jej się oświadczył

- Poznaliśmy się latem 1995 roku. Pamiętam do dziś to nasze pierwsze, elektryzujące spojrzenie. Ale oczywiście wtedy nawet się do siebie nie odezwaliśmy - śmieje się Aleksandra, wspominając pierwsze spotkanie z przyszłym mężem. - Mieszkaliśmy w ośrodku WSK Augustów Klonownica. Spotykaliśmy się w świetlicy, mijaliśmy się w ciągu dnia. Dopiero na wspólnym ognisku w końcu ośmieliliśmy się ze sobą porozmawiać... I tak to się zaczęło.

Wakacje minęły szybko, ale zakochani nastolatki nie zostawili miłości w Augustowie.

- Ona przyjechała z nami do Warszawy. Teraz są telefonami komórkowe, ale te 30 lat temu tylko ja miałam w domu telefon, a mój Grześ nie miał. Ale udało mu się do mnie zadzwonić, bo jeszcze przed pożegnaniem w Augustowie Grześ poprosił mnie o numer. Umówiliśmy się w Warszawie - Aleksandra uśmiecha się do wspomnień.

Młodzi randkowali, poznawali swoich znajomych.

- Moja najukochańsza mama powtarzała: „Córki, pamiętaj, musisz skończyć szkołę”. Bo rzeczywiście szłam dopiero do drugiej klasy szkoły średniej. W 2002 r. mój mąż mi się nieoficjalnie oświadczył. Oczywiście w Augustowie! - podkreśla Ola. - A oficjalne zaręczyny zaaranżowaliśmy rok później u naszych znajomych na Suwalszczyźnie.

Słowa mamy tak zapadły Aleksandrze w pamięć, że skończyła nie tylko liceum, ale i dwa kierunki studiów, a potem jeszcze studia doktoranckie, a ślubu jak nie było, tak nie było.

- Ale mama Oli, czyli przyszła Babcia, tak bardzo nie mogła doczekać się upragnionych wnuków, że - jakby to ładnie ująć - motywowała mnie do działania - śmieje się Grześ. - Ola wykładała na uczelni, czekałam na nią z jej mamą u nich w domu. A tego dnia przyszedł akurat do nich sympatyczny ksiądz „po koleędzie”. Byłem tylko ja, mama Oli i ksiądz Mariusz. Wysłuchał całej opowieści i podsumował: „już ja ich pożenie!”. Następnego dnia przyszedłem do Oleńki już z wypisanymi terminami dostępnymi

ICH WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO AUGUSTOWA

30 lat temu, latem 1995 roku, spotkali się po raz pierwszy.

Ona - młodzianka, niespełna 16-letnia uczennica liceum.

On - uczeń warszawskiego technikum, kilka lat starszy, lubiący dobrą muzykę z mocniejszym gitarowym brzmieniem. To właśnie w Augustowie, wśród szumu lasów nad Neckiem, zaczęła się historia Aleksandry i Grzegorza Foryś. Historia, która trwa do dziś, a której ważnym bohaterem pozostaje Augustów i Suwalszczyzna

Anna Gryza-Aneszko



Rodzina Forysiów wszystkie wakacje i ważne chwile spędza na Suwalszczyźnie

w kościele. Pobraliśmy się pół roku później.

Podróż poślubna do grodu nad Netą

Po 10 latach znajomości, 10 września 2005 r., Grzegorz i Aleksandra powiedzieli sobie sakramentalne „tak”. Początkowo planowali, że wesele zorganizują w Augustowie, jednak ze względów logistycznych i sporej odległości, jaką musieliby pokonać goście, zrezygnowali z tego pomysłu i wzięli ślub w Warszawie.

- Ale na stołach weselnych były podlaskie sękacze, wędlina ze sklepu litewskiego z Augustowa oraz woda mineralna Augustowianka - podkreślają. - No i pierwszym utworem granym na naszym weselu była „Beata z Albatrosa”, jednakże w wersji delikatnie zmienionej przez Grzesia: „7 dziewcząt z Albatrosa tyś jedyna/ A na imię miałaś właśnie Oleńka/ Dziś mam Ciebie...”. I na pierwszy tydzień podróży poślubnej oczywiście wybraliśmy się do grodu nad Netą...

To właśnie w Augustowie odbyła się ich ślubna sesja fotograficzna.

- W naszych ślubnych strojach pozowaliśmy w miejscach

bliskich naszym sercom: w WSK Klonownica, koło restauracji Rospuda, nad Neckiem koło Hotelu Hetman, na Gołej Zośce, na plaży Borki czy w centrum nad Netą - wspominają.

Najstarszej córce dali drugie imię Beata

Mieszkają w Warszawie. Ona jest naukowcem, statystykiem, wykładowcą akademickim, ekspertem Akademii Data Science, skończyła studia doktoranckie na SGH. On skończył Politechnikę Warszawską i zawodowo zajmuje się inżynierią drogową. Uzupełniają się w domowych obowiązках, tworząc zgrany duet. Ich dom jest pełen życia - i to dosłownie. Mają bowiem trzy córki, każda jest wyjątkowa i idąca własną drogą. Najstarsza, Wiktorja, nosi drugie imię Beata.

- Gdy ktoś nas pyta, po kim to imię, bo przecież tradycja jest, że drugie imię nadaje się zwykle po kimś bliskim, ważnym, odpowiadamy, że na cześć Beaty z Albatrosa, bo to prawda. Zazwyczaj spotykamy się z lekkim uśmiechem, czasem niedowierzaniem, choć dla najbliższej rodziny i przyjaciół jest to sprawa naturalna. Wszy-

scy bowiem wiedzą, że mamy świra na punkcie Augustowa, a teraz już całej Suwalszczyzny i Sejneńszczyzny - przyznaje Aleksandra.

Pierworodna córka to niezwykle umysł, mistrzyni matematyki, biologii i... brydża sportowego.

- W ubiegłym roku Wiktorja (mając 16 lat) zdobyła brązowy medal na Mistrzostwach Świata w brydżu sportowym i złoty medal na Mistrzostwach Polski Kobiet. Z tymi cennymi trofeami nie pojechała do Warszawy, choć przez nią przejeżdżała, ale właśnie do Augustowa, bo tam byliśmy całą rodziną na wakacjach. Także na augustowskiej ziemi powitaliśmy naszą medalistkę - podkreśla dumna mama.

Teraz najstarsza córka państwa Foryś rozpoczyna studia medyczne w stolicy, spełniając swoje największe marzenie.

- Nasza druga córka, Emilka Władysława, nosząca imię po prababci, w tym roku świetnie zdała egzaminy ósmoklasisty i dostała się do elitarnego warszawskiego liceum im. S. Staszica. Nie miała lekko, ale pracą i wytrwałością pokazała, że nazwisko Foryś pojawi się jeszcze w Staszicu. Wikusia

przecież w tym roku ukończyła z wyróżnieniem to właśnie liceum.

- A nasza najmłodsza, Natalka Leonia, nosząca drugie imię po dziadku, miała w tym roku Pierwszą Komunię Świętą. Natalka to tegoroczna brązowa medalistka Mistrzostw Polski w brydżu sportowym. I jak pani myśli, gdzie zrobiliśmy Natalce pamiątkową sesję? Oczywiście, że tak, w naszym Augustowie! - uśmiecha się Aleksandra.

Tu spędzają sylwestra i wszystkie wakacje

Choć na co dzień rodzina Forysiów żyje w rytmie wielkiego miasta, to rycm wciάζ jest na Augustowszczyźnie i Suwalszczyźnie. Kilkanaście razy w roku pakują bagaże do samochodu i ruszają w stronę ukochanych jezior, lasów i polnych dróg.

- Niektórzy miejscowi mówią: Państwo to znacie tutaj każdą bruzdę ziemi. My tyłu ludzi nie znamy co wy. Bo my rzeczywiście dobrze znamy i Augustów, i Wiżajny, i Suwałki, i Sejny. Teraz częściej jesteśmy na skraju Puszczy Augustowskiej. Unikamy tłumów. To piękne miejsca, w których się zakochaliśmy i rozkochaliśmy

w nich nasze dzieci. Spędzamy tu tyle czasu, ile tylko możemy. Tu świętujemy np. sylwestra, tu odpoczywamy w każde wakacje. Bo Augustów, Sejny i Suwałki są piękne o każdej porze roku. Zachwyceni jesteśmy wyścigiem narciarskim Dąbrówka, urzekają nas rezerваты przyrody czy nieodkryte małe, leśne jeziora. Co tu dużo mówić, tu czas płynie wolniej. Mamy tu wielu znajomych i przyjaciół. Tu ludzie są bardziej życzliwi, otwarci - opowiada Aleksandra.

Miłością do Augustowszczyzny i Suwalszczyzny zaraził też swoje córki oraz mamę pani Aleksandry.

- Moja mama także pokochała Augustów. Często tu z nami przyjeżdżała i wspólnie odkrywaliśmy piękno tych stron. Śmiała się, że prowadząc samochód o północy wiedziałam, w którą leśną dróżkę skręcić, aby dojechać do celu. Bardzo kibicowała naszej miłości - wspomina Aleksandra. - Uwielbialiśmy razem chodzić na kartacje. Potem sami nauczyliśmy się je robić.

Ola przyznaje, że jest zachwycona tym, jak jej ukochany region w ostatnich latach się rozwinął.

- Zmiany w Augustowie czy Suwałkach są - z perspektywy tych 30 lat - kolosalne. Na ogromny plus. To bardzo dobrze rozwinięte miasta, a jednocześnie „niezadeptane” przez ludzi. Mam wrażenie, że w którą stronę byśmy tu nie pojechali, zawsze odkryjemy nowe, piękne miejsce. Nie ma drugiego takiego regionu w Polsce, który ma jednocześnie jeziora, lasy, góry i takich wspaniałych mieszkańców - podkreśla.

Dla Forysiów każdy wyjazd na Suwalszczyznę to także powrót do źródeł ich znajomości i miłości, do wspomnień o ukradkowych spojrzeniach i pierwszych rozmowach.

- Tu cała nasza rodzina ładuje akumulatory. Już teraz czujemy się nierozdzielnie częścią tej społeczności - mówią. - W Warszawie na drogowkach zawsze widzimy Augustów, nawet gdy trasa prowadzi na południe Polski. I my się śmiejemy, że wszystkie drogi prowadzą nas do Augustowa. - Tak bardzo przywiązaliśmy się do tego miejsca, bo ono jest jak lustro naszej miłości, jak największy przyjaciel - najpierw pierwsze, nieśmiałe spojrzenia, potem ogniska, narty wodne, a dziś nasze dzieci biegają po tych samych ścieżkach. I choć teraz obowiązki w Warszawie trzymają nas mocno, to my wiemy, że kiedyś właśnie na Suwalszczyźnie zakotwiczymy na stałe. To jest takie nasze wspólne marzenie - na stałe zamieszkać w domu na skraju puszczy, w którym będzie unosić się zapach świeżego chleba i śmiech naszych dzieci. A kiedyś, mamy nadzieję, że i gwar naszych wnuków.



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Barbara Poczwardowska i jej skarby z rekwizytorni Teatru imienia Wilama Horzycy w Toruniu. To rzeczy znajdujące się tu od wielu lat i cały czas przybywa kolejnych

LASKA I TAJEMNICE REKWIZYTORNI

Co spektakl, to inne przedmioty są potrzebne, by stworzyć jego klimat. Przez lata nagromadzono ich tyle, że teatralna rekwizytornia pęka w szwach.

Marek Nienartowicz



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Oto laska ze spektaklu „Noce i dnie”. Grawer na jej ręczce to dowód, że ma 100 lat; więcej o niej nie wiadomo

Wchodzimy do Sceny na Zaplecze, czyli młodszego z dwóch budynków Teatru Wilama Horzycy. Wędrujemy zakamarkami tutaj i tymi w głównym obiekcie. Szybko można stracić orientację. Trudno się połapać, z której strony jest główne wejście do teatru, a z której sąsiadujący z nim gmach Collegium Maius UMK. Przewodniczka w tej wyprawie daje znać, kiedy jesteśmy pod sceną i którędy aktorzy podczas spektakli, znieśnacka dla widzów, na niej się pojawiają.

Pod dowództwem starszego mistrza

W końcu docieramy do teatralnej rekwizytorni. To króle-

stwo Barbary Poczwardowskiej.

– Formalnie pracuję na stanowisku starszy mistrz pracowni rekwizytorsko-plastycznej. A mówiąc tak po prostu: jestem teatralnym rekwizytorem i plastykiem – wyjaśnia pani Barbara.

Jest absolwentką Liceum Plastycznego w Bydgoszczy. Przez 14 lat pracowała w Teatrze „Baj Pomorski”. 17 lat temu przeniosła się na drugą stronę toruńskiej starówki. Dba o rekwizyty niezbędne w spektaklach Teatru imienia Wilama Horzycy.

– Jako plastyk muszę zrobić rzeczy, których nie można kupić. To na przykład różnego rodzaju maski albo brzuchy do kostiumów – mówi Barbara Poczwardowska.

Rekwizytor jest jedną z tych osób, które przemykają za sceną, niewidoczne dla widzów. Zarazem są niezbędne do przygotowania spektaklu i jego wystawienia.

Magazyn rekwizytorski – czy też po prostu rekwizytornia – w Teatrze Horzycy to z kolei pomieszczenie większe i dwa mniejsze. I to w innym punkcie Torunia. Znajduje się przy teatralnej stolarni, działającej przy ulicy Bociana w lewo-brzeżnej części miasta. Tu przechowywane są rekwizyty o większych rozmiarach.

– Ile w sumie ich mamy? Tysiące! Mam ewidencję rekwizytów. Dobrze się w tym orientuję – mówi pani Barbara.

Jak na wystawie w muzeum techniki

Rekwizyty są elementem scenografii. Ważnym, skoro się w niej znalazły. Część można uznać za ozdobę. Inne są wykorzystywane przez aktorów.

Półki w teatralnej rekwizytorni „Horzycy” uginają się pod wazonami, kieliszkami, butelkami, tacami... Niezwykle bogata jest kolekcja aparatów telefonicznych czy fotograficznych. Można z nich stworzyć wystawę godną muzeum techniki. To aparaty sprzed dziesiątków lat i te młodsze. Jest też w magazynie pościel czy ręczniki.

– Mamy tu praktycznie wszystko. Najwięcej jest walizek, butelek i telefonów. Wykorzystujemy w spektaklach to, co zostało wcześniej zgromadzone, ale rekwizytów systematycznie przybywa. Scenograf w ramach przygotowań do kolejnej premiery sporządza listę przedmiotów potrzebnych do przedstawienia. To, czego

nie mamy na stanie, jest kupowane; przede wszystkim okulary, biżuteria, także nietypowe butelki, konkretne książki. Tak przez lata przybywało i przybywa rekwizytów w magazynie. Ubywa za to niewielka ich część, w zasadzie tylko te, które są mocno zniszczone – opowiada Barbara Poczwardowska.

Oczekiwania twórców spektaklu są różne. Na przykład w granych od dwóch lat w Teatrze Horzycy „Drogiach” niezbędny jest sok pomarańczowy, który udaje... moc.

– W niektórych spektaklach potrzebne są rekwizyty spożywcze. To choćby jogurty, marchewki, jabłka. W innych rekwizytami są tylko butelka i książka. Wszystko zależy od koncepcji reżysera i scenografa. Kwestie rekwizytów są doprecyzowywane podczas prób do spektakli. Możliwe są zmiany. Któryś z rekwizytów może być uznany za niepotrzebny, innych z kolei dochodzi do scenografii – wyjaśnia pani Barbara.

Rekwizytorskie wyzwania na scenie i wokół niej

A co było dla niej jako rekwizytorki największym wyzwaniem? Okazuje się, że debiut w tej roli w Teatrze Horzycy.

– Gdy przejmowałam obowiązki od poprzednika, wyjaśnił mi, co gdzie się znajduje, jak mam się poruszać po teatrze. To było prawdziwe wyzwanie, bo system przejść i korytarzy jest zagmatwany. Potrzeba czasu, by go dobrze poznać. Na początku więc się mijałam, ale z czasem opanowałam sytuację. Nerwowo robi się tuż przed premierą, zwłaszcza podczas próby generalnej, ale to normalne – wspomina Barbara Poczwardowska.

Bywają też sytuacje, które z perspektywy czasu stają się zabawnymi teatralnymi anegdotami, chociaż gdy zaistniały, rekwizytorowi nie było do śmiechu. Jak choćby wtedy, gdy sprzątająca scenę pani uznała, że butelka z odrapaną etykietą albo pomiętą gazetą nadają się do śmietnika. A były rekwizytami! Tak jak brudne talerze i kieliszki z innego spektaklu. „Grały” w pobiesiadnej scenie. Ktoś nadgorliwy je... umył.

Oczywiście im bogatsza scenografia i im liczniejsza obsada spektaklu, tym wyzwanie w zakresie rekwizytów i pracy rekwizytora jest większe.

– Podczas prób aktorzy dowiadują się, z jakich rekwizy-

tów będą korzystać i kiedy to nastąpi. Z każdym ustalają szczegóły. Wychodząc na scenę aktor musi wiedzieć, że – dajmy na to – książkę znajdzie w lewej kulisie, a butelkę z wodą pod krzesłem. Tu nie ma miejsca na chaos i improwizację. Kwestia wykorzystania poszczególnych rekwizytów w spektaklu musi być doprecyzowana. To gwarancja tego, że przedstawienie będzie sprawnie przebiegać – mówi Barbara Poczwardowska.

I dlatego rekwizytor nie ma stałych godzin pracy. Musi być obecny w teatrze podczas prób i spektakli – co najmniej na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia, by przygotować wszystkie rekwizyty, które będą potrzebne.

„Urodziny” w teatrze ze stuletnią laską

Wśród rekwizytów w Teatrze Horzycy są też szczególne przedmioty. Wiąza się z nimi nierozwikłane tajemnice.

Tak jest ze stuletnią laską.

– To piękny przedmiot, jeden z tych, o których niewiele wiemy. Nie udało mi się ustalić, w jaki sposób laska znalazła się w naszym teatrze. Być może to ktoś kiedyś tu ją przyniósł. Bywało i bywa tak, że ktoś robi porządku w mieszkaniu czy domu dziadków albo rodziców. Tak najczęściej trafiają do nas walizki i zostają u nas jako „przydanie”, czyli rekwizyty, które prędzej czy później się przydadzą. A stuletnia laska jest cenna także dlatego, że tak ładny przedmiot trudno dziś kupić w rozsądnej cenie – mówi pani Barbara.

Laska „gra” w spektaklu „Noce i dnie”. To niewątpliwie rzecz pamiątkowa. Wykonana z ciemnego drewna, z metalową ręczką. Ta ma ładne zdobienia. I piękny grawer: „Z okazji 25-letniej pracy w zawodzie drukarskim. Koledzy. 1 X 1925, Bydgoszcz”. Można więc wnioskować, że sto lat temu laską obdarowano zasłużonego pracownika. Gdzie on był zatrudniony? Nie wiadomo.

Piękna laska i jej nierozwikłana historia zafascynowała panią Barbarę i innych pracowników Teatru Horzycy. Postanowili więc wyprawić jej... „setne urodziny”. Zorganizowali je 1 października, zgodnie z datą wygrawerowaną na ręczce laski. Każdy mógł ją obejrzeć, dotknąć oraz poznać inne rekwizyty z toruńskiego teatru. Była okazja do pamiątkowych zdjęć. I jak to na urodzinach – nie zabrakło tortu i kawy.

– Stuletnia laska nie jest najstarszym naszym rekwizytem. Mamy księgi w języku niemieckim. Pochodzą prawdopodobnie z niemieckiego okresu teatru w Toruniu. Zalegają więc tu od ponad stu lat. Przechowujemy je, bo może przydadzą się w którymś ze spektakli – dodaje Barbara Poczwardowska.

IM BOGATSZA SCENOGRAFIA I IM LICZNIEJSZA OBSADA SPEKTAKLU, TYM WYZWANIE W ZAKRESIE REKWIZYTÓW I PRACY REKWIZYTORA JEST WIĘKSZE

Marek Twaróg

SZYMONOWI HOŁOWNI
ŻYCZENIA WIECZNEJ ZABAWY

Szymon Hołownia podobno od początku uznawał swoją karierę polityczną jedynie za przygodę, trudno było się z nim dogadać – słyszę od wczoraj. Znaleźli się nawet młodzi dziennikarze, którzy już od dwóch lat nie dostrzegali w oczach Hołowni dawnego blasku. Ale prawda jest taka, że dla wszystkich rozsądnie myślących o polityce to kompletne zaskoczenie. Nie dlatego, że Hołownia dał sobie spokój z polityką, tylko w jakim momencie i w jakim stylu dał sobie spokój.

Scenariusz był prosty. Hołownia, który stracił polityczny zmysł i poparcie, nie jest głupcem, w związku z czym zdawał sobie sprawę, że musi przemyśleć swoją obecność w polityce. Funkcja wicepremiera była szyta na miarę pod warunkiem, że nie będzie musiał za dużo robić i o zbyt wielu sprawach decydować (podobnie jak na stanowisku marszałka Sejmu). Ten warunek miał zostać spełniony, bo Donald Tusk przecież nie dawałby mu zbyt wiele pola do popisu. Hołownia ostatecznie pociągnąłby jeszcze kilka lat, pewnie już bez jakiegokolwiek własnego zaplecza, ale z pewnym doświadczeniem medialnym i jakim takim czarem mógłby odgrywać pewną rolę na tak zwanej scenie politycznej, gdzie czas dwóch starych liderów powoli, ale nieuchronnie się kończy.

Ale Hołownia nie jest politykiem. Po udanej erze dziennikarza-pisarza-ewangelisty początkowo był aktywistą – jednym z wielu w ostatniej historii – który nagle zamarzył o Polskę bez podziałów, o jakimś magicznym nowym rozdaniu. W 2020 roku ten beznadziejny romantyzm przeszkodził w wygranej Trzaskowskiemu. Wybory 2023 były jedynymi, kiedy Hołownia cokolwiek znaczył. Czar trzeciej drogi wtedy bowiem zapłonął spektakularnie, by jednak – jak to z takimi czarami bywa – szybko prysnąć. Współczesna Polska nie chce bowiem żadnej trzeciej drogi, chce konfliktu, wyrazistości, populizmu, mamienia obietnicami, wzięcia za twarz, żadnych stanów pośrednich.

Następnie przez chwilę był kimś na kształt stańczyka. Gdy Kaczyński nudził o nienawiści do Tuska albo o jakichś ideach naprawy państwa, z czego zrealizował głównie zdewastowanie porządku prawnego i medialnego, a PO jechało na słusznych obawach elektoratu o przyszłość, na Hołownię zawsze można było liczyć: bon mot, rozkładanie rąk, chciałem dobrze, ale wiecie, oni się kłócą, wszystko z miną najważniejszego w grupie starszaków prywatnego przedszkola na Wilanowie. Ostatecznie został jedynie partyjnym obciążeniem zarówno w swoim ugrupowaniu, jak i w koalicji. Nikt bowiem mu nie ufał, ani wewnątrz, ani zewnątrz.

Najważniejsze: od początku do końca pozostał politycznym dzieckiem, chłopcem, który nie wie, czego chce. Szymkiem z telewizji, który prowadził program, ale jak uciekał mu myśl albo znudziło mu się przepytanie gwiazdy, to zawsze mógł uciec w anegdotę, uszczypnąć w tyłek współprowadzącego lub zrobić dziwną minę i też szafa grała. Gdy znudziła mu się telewizja, poszedł w politykę, gdy znudził mu się marszałkowski show, zapomniał o swoich ponoć edukacyjnych występach na YouTube, gdy znudziła mu się odpowiedzialna polityka, spotkał się z Bielanem, udając, że to jakiś większy plan, a gdy znudziła mu się polityka w ogóle, wysłał aplikacje do ONZ na komisarzy ds. uchodźców. Na miejscu rekruterów, ambasadatorów, urzędników i negocjatorów w ONZ obawiałbym się, że za rok znudzą mu się uchodźcy i z dnia na dzień zostawi miliony Syryjczyków rozsianych po świecie. I poprowadzi „Taniec z Gwiazdami”.

Polska nie zasługuje na Szymona Hołownię. „Może przyjdzie jeszcze 75 byłych prezydentów i premierów, 48 marszałków Sejmu, mogą mi mówić, co chcą. Ale oni już byli, a teraz czas na to, co będzie. Teraz kolej na mnie” – mówił Szymon Hołownia w słynnym nagraniu sprzed pięciu lat, płacząc nad konstytucją. Szybko mu przeszło.

Adam Bula

REWOLUCJE W KLIMACIE
ODPUSTOWEGO KICZU

Nadziałem się na rolę Tobiasza Bocheńskiego. Jedyny w miarę przystojny polityk PiS, podniecony jak 10-latek na pierwszych wagarach, zachwyca się występem sekretarza wojny USA, wyglądającym jak spicz motywacyjny diamentowego sprzedawcy Amwayu do tłumu dystrybutorów nowej patelni. Tak dzisiaj wygląda polityka.

Rozradowany Bocheński nawija do trzymanego kawałek przed twarzą telefonu, idąc przy tym szybko, nie wiadomo tylko, skąd dokąd. Bo po co, to już nawet nie warto pytać. Ważne, że jest dynamicznie, a dobrej jakości sprzęt daje na jego leciutko niedogolonej buzi niepokojące refleksy, spychające pewnie część tiktokowej publiczności w rejony rojenia o 51. twarzy Greya...

Nie, stop, skupmy się znów, jak kiedyś, na treści. Bocheński zachwyca się: „Coś pięknego, wraca normalność. Amerykańska armia wraca do gry”. To komentarz do przemówienia Peta Hegsetha do kilkuset zwołanych na szybko dowódców armii. Bocheński dał w swoim filmiku jego najgłośniejszy fragment, gdy szef Pentagonu mówi: „skończymy z tym gównem”.

Bocheński nie tłumaczy, niestety, do jakiej gry wraca Ameryka. Ani nawet, dlaczego to tak dobra wiadomość dla nas. Jak „rewolucja zdrowego rozsądku” głoszona przez Trumpa i cały ruch MAGA, po dotarciu do sił zbrojnych spowoduje, że USA będą miały większe szanse z Chińczykami na wodach wokół Tajwanu? Albo gdziekolwiek. Zwłaszcza gdy najczęściej wrzucanym komentarzem pod jego nagraniem jest puste, 15-hektarowe pole po amerykańskiej bazie w Jassionce...

Oczywiście, nawet w sieci wciąż znajdziemy dość miejsc, gdzie można o tym porozmawiać poważniej. To, że żołnierze za oceanem będą musieli się golić, a polityczna nadbudowa armii będzie „walczyć z ideologią woke”, likwidując w jednostkach inicjatywy, takie jak „miesiące tożsamości, biura różnorodności i inkluzywności”, ganiając za „facetami w sukienkach”, to nie jest dla sił zbrojnych kluczowe. Nawet „koniec

z kultem zmian klimatycznych” w armii nic w sumie nie znaczy, bo nie słyszeliśmy dotąd, by Amerykanie mieli plany wymiany silników w F-35 na bardziej ekologiczne.

To, co istotne, i czego nie znajdziemy w refleksji na poziomie małpującego trendu Tobiasza, pojawi się w kolejnym kroku. Zdrowa już moralnie, pełna bogobojnych i wystrzyżonych, normalnych amerykańskich chłopców armia musi się zmierzyć z prawdziwym wrogiem USA. Wrogiem wewnętrznym, całym tym g..., które według MAGA niszczy „Wielkość Ameryki”. Dlatego Trump wysyła i będzie wysyłał wojsko na ulice amerykańskich miast, gdzie mają zrobić porządek i zaprowadzać „normalność”. Zwłaszcza tam, gdzie rządzą liberalni demokraci.

Dlatego trwa wielki przegląd strategicznej obecności wojsk USA na świecie, po którym siły zbrojne zwiną się, skąd tylko się da. Dlatego Trump, ogrywany przez Putina, nie ma już nic przeciwko, by Ukraina odbiła wszystkie swoje ziemie, pod warunkiem, że zrobi to z pomocą Europy, bo „amerykańscy chłopcy” mają robotę w domu. Donald może nawet tej Ukrainie podrzuci wreszcie Tomahawki, oczywiście, jak je od niego kupimy...

Gdyby próbować być już całkiem na poważnie, robi się groźnie, gdy uprzytomnimy sobie, że kilkanaście godzin przed jarmarkowym eventem w Stanach Jarosław Kaczyński wyskoczył z ideą „Pax Americana”. Zamiast „tracić suwerenność” w zjednoczonej Europie, „zdominowanej przez Niemcy”, Polska powinna robić wszystko, by być wiernym wasalem USA, najlepiej tak jak reszta świata.

Jest tylko jeden problem: Ameryka Trumpa ma świat tam, skąd pochodzi to, z czym Hegseth kończy właśnie w jej armii.

To jest nasza wojna, bo wojna w Ukrainie jest tylko częścią tego upiornego projektu, który raz na jakiś czas pojawia się na świecie. I celem tego politycznego projektu jest zawsze to samo. Jak zniewolić narody, jak odebrać wolność poszczególnym ludziom, co zrobić, żeby zatriumfowały autorytaryzmy, despocie, okrucieństwo, brak praw człowieka

LITERATURA/SZTUKA

Czy Caravaggio był w Rzymie 17 lutego 1600 r?

„Sztuka, dociekania i olśnienia. Siedem utworów o dziełach odbitych w oczach odbiorcy” – zachęca Wydawnictwo Literackie do lektury wznowionego właśnie tomu „Sześć medalionów i Srebrna Szkatułka” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

„To zbiór opowieści o wielkich artystach, wspaniałych miejscach i niezwykłych zdarzeniach” dodaje Jarosław Mikołajewski, autor wstępu.

Rembrandt, Caravaggio i inni

„Jak opisać zachwyt na widok dzieła sztuki w sposób spokojny, ścisły, rzeczowy, a zarazem utrwalający wzruszenie?” – tym zdaniem Herling-Grudziński zaczął szkic o „Barbarzyńcy w ogrodzie”. W tym tomie sam zabiera się za opisywanie arcydzieł malarzy najbardziej przez siebie podziwianych: Vermeera, Rembrandta, Caravaggia, Ribery i da Messiny.

Ciekawią go dzieła zagadkowe, wieloznaczne, trudno uchwytne i im poświęca najwięcej uwagi. W pisaniu o sztuce wybiera też własnych przewodników. „Podziwia Stendhala, jego fantazję i umiar. Stendhal patronuje esejom Herlinga, szczególnie szkicom o sztuce i opowiadaniom. Niewiele jest postaci, o których Herling pisze tak wiele, zawsze ciepło i z pasją – zauważył kilka lat temu na swoim blogu Marek Zagańczyk.

Na „Sześć medalionów...” składa się siedem esejów, w których autor przygląda się malarstwu i architekturze a potem stara się zanalizować to, co zobaczył. Dialoguje z dziełami, poszukując napięć i momentów zwrotnych w biografiach ich twórców: otarcia się o śmierć, doświadczenia nieuleczalnej choroby, starości, emocji granicznych. Poświęca wiele miejsca sztuce, w istocie jednak tworzy opowieść o granicach pewności i przecucia, i o recepcji dzieł wykraczającej poza proste konstatacje.

Szczegóły, szczególiki

Gdyby starać się opisać metodę literacko-estetyczną Grudzińskiego, to trzeba by na początku stwierdzić oczywistość: wszelkiego rodzaju działania artystyczne bazują na pracy zmysłów i odwołują się do nich. W przypadku jego prozy można mówić zarówno o przestrzeniach różnych sztuk, którym pisarz poświęcił swoją uwagę, jak i o różnych przestrzeniach sztuki.

Musimy zatem pamiętać, że oprócz samych obrazów Herling wspomina ponadto przestrzenie, w których one powstają i te, w których się znajdują. Przykładowo w eseju „Rembrandt w miniatrze” czytamy uwagę o powstawaniu ostatniego autoportretu holenderskiego mistrza w jego sypialni. Niby detale, a diametralnie zmienia nasze rozumienie.

Z kolei jeśli chodzi o kontekst ekspozycyjny obrazów, to np. w eseju „Siena i okolice” zauważa, że w sienieńskim Palazzo Pubblico rozmawiają ze sobą niejako „Maesta” Simone Martiniego oraz umieszczony na przeciwległej ścianie portret Guido Riccia pędzla tegoż artysty. Dostrzega też, że w orwietiańskiej kaplicy San Brizio znajdują się prace Signorellego i Fra Angelica. I znów: szczegóły, ale jakże znaczące. **margra**



Gustaw Herling-Grudziński, „Sześć medalionów i Srebrna Szkatułka”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 59,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

RYSZARD RYNKOWSKI

Został oskarżony

Popularny piosenkarz, jadąc w czerwcu na festiwal w Opolu, doprowadził do wypadku samochodowego. Następnie oddalił się z miejsca zdarzenia. Policja w Brodnicy potwierdziła, że miał 1,6 promila alkoholu we krwi. W miniony wtorek do sądu trafił akt oskarżenia w tej sprawie. - Prokuratura zarzuca artyście jazdę w stanie nietrzeźwości. Kodeks karny przewiduje za to karę do trzech lat pozbawienia wolności - przekazał „Super Expressowi” przedstawiciel Prokuratury Okręgowej w Toruniu. Dodatkowo sąd może orzec zakaz prowadzenia pojazdów Rynkowskiemu nawet na 15 lat.

BLANKA LIPIŃSKA

Walczy z dyskryminacją

Jakiś czas temu Michał Wiśniewski poddał się zabiegowi wazektomii, aby postawić tamę swej niezwyklej płodności. Teraz do tematu tego wróciła autorka popularnych erotyków. W pełnym wzburzenia wpisie na Instagramie zauważyła dyskryminację w dostępie do tego typu zabiegów nad Wisłą. Okazuje się bowiem, że o ile mężczyzna może z niego skorzystać bez problemu, to kobieta już nie. „Nie możemy legalnie w Polsce zrobić zabiegu podwiązania jajowodów na życzenie! Absurd! I ja pytam dlaczego? Dlaczego muszę jechać na Słowację, do Czech czy Niemiec? Czy nie śmierdzi wam to ostrą dyskryminacją? Bo mi tak!” – napisała.

KRZYSZTOF RUTKOWSKI

Jest bardzo tolerancyjny

Od kilku tygodni żona słynnego detektywa przebywa na Sri Lance, gdzie bierze udział w reality-show „Królów przetrwania”. To oznacza, że opieka nad dwunastoletnim synem pary - Krzysztofem Juniorem - spoczywa na barkach jego ojca. Z tej okazji Pudelek zapytał Rutkowskiego, jaką prowadzi wobec chłopca „politykę finansową”. - Junior oczywiście ma kartę, którą dysponuje, i ma tyle kieszonkowego, ile trzeba. Wiadomo, że dziecko nie szaleje, bo jego stan konta nie może



Natalia Szroeder znalazła nową miłość. To Przemysław Dzienis, znany fotograf celebrytów

przekraczać tysiąca złotych, ale jeżeli cokolwiek potrzebuje, ja jestem absolutnie tolerancyjny i daję mu możliwość, by - jeśli coś chce sobie kupić - nie miał żadnych barier ani przeszkód - powiedział detektyw.

NATALIA SZROEDER

Dała się ponieść

Młoda piosenkarka była przez kilka lat związana z raperem Quebonafide. Para rozstała się w 2023 roku, ale żadna ze stron nie skomentowała tego publicznie. Od roku raper układa sobie życie z nową partnerką - aktorką Martyną Byczkowską, znaną z serialu „1670”. Teraz okazuje się, że wokalistka również z kimś się spotyka. Według ustaleń „Super Expressu” 30-latką odnalazła szczęście u boku 41-letniego Przemysława Dzienisa, fotografa celebrytów, który niegdyś był zaręczony z Moniką Brodką. Natalię i Przemka sfotografowali ostatnio stołeczni paparazzi. Para przechadzała się po mieście podczas jesiennego spaceru. Na zdjęciach widać, że prowadzili żywą dyskusję. W pewnym momencie przystali na chwilę i dali ponieść się uczuciu, obdarzając się ciumi i pocałunkami.

DODA

Wtarła magnezję

Podczas sobotniego występu na imprezie „Roztańczony PGE Narodowy” piosenkarka zamiast własnych przebojów,

wykonała covery zachodnich piosenek. Nie spodobało się to widzom, czemu dali wyraz w internecie. Kilka dni później, jakby po to, by odwrócić uwagę od nieudanego występu, Doda wrzuciła na Instagram filmik, na którym zachęca widzów do aktywności fizycznej, prezentując się w mocno wyciętym kostiumie kąpielowym. Odważnie wyeksponowała przy tym pośladki, uprzednio wcierając w nie magnezję. W ten sposób wróciła wspomnieniami do czasów dzieciństwa i „godzin spędzonych z tatą i ciężarówkami na treningach”. „Życzę wszystkim kobietom miłości do sportu, bo to jak pokochać siebie” - napisała.

NORBI

Ma niski cennik

Niektórzy nazywają go wykonawcą jednego przeboju - „Kobiety są gorące” z lat 90. Tymczasem on radzi sobie całkiem nieźle. Ostatnio w rozmowie z Plejadą powiedział: - Nie gram już, jak jeszcze przed pandemią, ponad 100 koncertów rocznie. W tej chwili jak zagramy 75-80 sztuk, tak sobie myślę, że to jest bardzo dużo. Jak na 53-letniego gościa grającego pop, przy tak ogromnej konkurencji, to jest ultra wynik - stwierdził. I dodał: - Cennik Norbiego jest bardzo prosty i szczerze mówiąc, bardzo niski w stosunku do konkurencji. To jest między 10 a 15 tysięcy złotych. To jest cena, na którą stać wielu ludzi, czy gminę, czy miasto, czy prywatne osoby, które cię zapraszają na urodziny, czy wesele.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Odważnie ruszaj do przodu. Horoskop dzienny mówi, że energia sprzyja działaniu, więc nie odkładaj planów.

Ryby (19.02 - 20.03)

Spokój i cierpliwość pomogą Ci uniknąć napięć. Horoskop na dziś radzi zadbać o finanse, bo będzie łatwo o nieprzemyślane wydatki...

Baran (21.03 - 19.04)

Rozmowa z bliską osobą otworzy nowe perspektywy. Horoskop dzienny na piątek mówi, że pojawi się okazja do pokazania talentów.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje będą dziś intensywne. Horoskop dzienny wyraża niezapowiedzi, że twój stan udzieli się innym osobom.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja charyzma będzie przyciągać uwagę. Horoskop na dziś wróży, że ludzie popatrzą na Ciebie z uznaniem.

Rak (22.06 - 22.07)

Uporządkowanie spraw da Ci satysfakcję. Horoskop dzienny na piątek mówi, że dostrzeżesz szczegóły, które pozwolą uniknąć błędów.

Lew (23.07 - 22.08)

Harmonia w relacjach będzie kluczowa. Ale horoskop dzienny radzi nie unikać trudnych rozmów, bo mogą przynieść niespodziewane korzyści...

Panna (23.08 - 22.09)

Intuicja podpowie Ci właściwe kroki. Horoskop na dziś podpowiada, by słuchać siebie. Szybko dzięki temu z wszystkim się uporasz.

Waga (23.09 - 22.10)

Optymizm doda Ci skrzydeł. Horoskop dzienny na piątek mówi, że przed tobą dobry dzień, by zacząć nowy projekt lub zaplanować podróż.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Praca pochłonie Cię bez reszty. Horoskop dzienny wróży, że wytrwałość otworzy przed Tobą nowe drzwi.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Błyśniesz talentem, o którym dotychczas mało kto wiedział. Horoskop na dziś zapowiada, że niektóre osoby Ci tego pozazdroszą.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Wrażliwość otworzy Cię na potrzeby innych osób. Horoskop dzienny na piątek mówi, że to dobry moment na rozwój duchowy.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą rozwiązanie – myśl Mariana Karczmarczyka.

ROZWIĄZANIE: NADZIEJA JEST WDZIEKIEM MĘKI.

Człowiek, który stworzył u nas modę na NBA

Tomasz Kuczyński
t.kuczynski@dz.com.pl

Rozmowa z Ryszardem Łabędziem, komentatorem w TVP, sędzią koszykówki, byłym aktorem i... bramkarzem piłkarskim.

Komentował pan mecze Euro-Basketu, który rozgrywany był m.in. w Polsce. Dzięki takiemu wydarzeniu i obecności chociażby Łuki Doncicia, liga NBA stała się dla nas na wyciągnięcie ręki. Z Włodzimierzem Szaranowiczem, w końcu lat 80. i na początku 90. pokazywaliście w Telewizji Polskiej skróty meczów NBA, z kaset video.

Teraz wiele więcej rzeczy mamy na wyciągnięcie ręki. Ja się oczywiście bardzo cieszę z tego powodu, że wtedy w latach 80. i 90. był taki mały zasięg, mało stacji, nie było portali internetowych. Teraz są tłumy ludzi, nas dziennikarzy. Wtedy rzeczywiście we dwójkę to robiliśmy w telewizji. Był jeszcze Wojtek Michałowicz, ale była to grupka. Nikt nie miał możliwości zobaczyć NBA inaczej niż z naszym udziałem. Narzucaliśmy się innym, bo nie było wyboru. Teraz jest wybór.

Czuł pan misję, aby nieść kaganek oświaty z NBA w Polsce?

Nie, żadnej misji nie czułem. Całe życie, i zawodu komentatorskiego, i dziennikarskiego, czy wcześniejszego zawodu (aktora - red.), nie wykonywałem dla idei, tylko dla przyjemności. To była dla mnie przyjemność. Może przemawia przeze mnie stary zgred, ale ja

nie patrzyłem na pieniądze, jak teraz się jednak patrzy. Przez pierwsze lata w ogóle nie patrzyłem na listy płac. Chłonałem po prostu to, że mam dużo większe możliwości niż pozostali, co oglądali przed telewizorami. Ja oglądałem szerzej. Obejrzałem sobie cały mecz, mogłem przeanalizować materiały, które przychodziły do nas z NBA.

Skąd dostawaliście taśmy z meczami?

Przylatywały z USA samolotem i z Okęcia samochodem przywoził je nasz kierowca do telewizji.

Czyli to była oficjalna umowa Telewizji Polskiej z NBA? Żadnego piractwa, które było wtedy u nas wszechobecne?

Państwowa telewizja nie mogła sobie przecież pozwolić na piractwo. To był normalny kontrakt podpisany z NBA. Właśnie z NBA przed sezonem dostawaliśmy wydane przez kluby materiały w postaci książek informacyjnych - ze składami, historią itd. Mam do tej pory z dwóch sezonów 1991/1992 i 1992/1993 całą gablotę takich wydań z każdego klubu. Teraz wszystko jest w internecie, więc jest łatwiej, ale wydania papierowe zostają, a ja uwielbiam tego typu materiały.

Bardzo skromnie pan mówi o swojej roli w krzewieniu NBA w Polsce, ale sam pan wspominał w jednym z wywiadów o efekcie chociażby w postaci koszy do koszykówki, które wszędzie się wtedy pojawiały.



FOT. KARINA TROJOK

70-letni Ryszard Łabędź nadal komentuje mecze koszykówki w TVP. Był w Spodku podczas EuroBasketu

Miałem świadomość, że to zadziałało, ale nie było tak, że to sobie wymyśliłem pod hasłem: „Ja teraz będę tutaj zbawcą narodu i krzewicielem koszykówki”.

Może nie wiedzieliście, że NBA stanie się dzięki wam tak popularna w Polsce?

To swoją drogą. Wiadomo, jaki jest Włodek Szaranowicz - też jest zakochany w sporcie. Może to nie była rywalizacja między nami, ale każdy miał swój klub. Włodek to jest głównie Lakers, jednak potem nastała era Byków i oczywiście też musiał na te Byki bardziej się przesiąść. Ja od początku kibicowałem Bulls. Wtedy też poznawałem wszystko. Zacząłem pracę w Telewizji Polskiej 1988 roku. Już byłem sędzią koszykówki, po zmianie wcześniejszej profesji wszedłem w tę koszykówkę. Można powiedzieć, że trafiłem na dobry moment - i kontrakt telewizyjny z NBA, i ktoś to musiał tu robić, a ja z chęcią.

To przyjmowanie kaset z lotniska, nocne obrabianie tych materiałów, to była dla mnie przyjemność. Brałem syna, który miał wtedy 12-15 lat. Też go zabrałem NBA, a on kolegów i tak się to roznosiło. To się działo samo, niczego mu nie sugerowałem. Potem jeździłem jako sędzia na ligowe mecze, a sędziowie byli w tamtych czasach bardziej dopieszczani przez kluby. Pojechałem na mecz do Przemyśla, kiedy grała jeszcze Polonia. Prezesi klubu już wiedzieli, że komentuję NBA w telewizji i mówią: „Panie Ryszardzie, pokażemy panu, jak to się rozwija”. Powieźli nas sędziów dzień przed meczem samochodem po Bieszczadach i widzę, że tu kosz wisi, tam kosz wisi, tutaj też. To była satysfakcja, oczywiście. Mówili, że to nasza zasługa - poniekąd tak, taka kolej losu, ale nie że bym sobie wyznaczył zadanie, że ja będę krzewił koszykówkę. To była i jest dla mnie przyjemność. Mimo, że jestem emerytem, to dalej się w to bawię.

Pochodzi pan z Bielska-Białej. Jak długo pan tam mieszkał?

Do matury. Skończyłem liceum w Bielsku i pojechałem na studia do Warszawy i tak osiadłem w tym mieście. Jestem ciągle zakochany w Bielsku-Białej. Niech mi tylko ktoś powie złe słowo, to mi tak gula rośnie (śmiech). Wszystko, co dotyczy Bielska-Białej, nie tylko związane ze sportem, mnie interesuje, fascynuje.

Wtedy był już pan jakoś związany z koszykówką?

Nie. Grałem w BKS-ie Bielsko jako bramkarz. Od trampkarza, potem jako junior. Grałem do jesieni 1973 roku, czyli klasa maturalna, a maturę robiłem w 1974 roku. Byłem pierwszym bramkarzem w reprezentacji Śląska. Zostałem najlepszym bramkarzem w Pucharze Michałowicza. To były rozgrywki makroregionalne, czyli byłem najlepszym bramkarzem na Śląsku. Wszystkie Szombierki, Ruchy, Górniki, GKS-y nie miały takiego kogoś jak ja. Tym się mogę pochwalić, a nie pracą w redakcji (śmiech). Byłem pierwszym bramkarzem w reprezentacji Śląska juniorów z perspektywami na to, że zagram w reprezentacji Polski. Graliśmy taki mecz w okresie przygotowawczym sezonu 1973/1974 z reprezentacją Polski juniorów trenera Mariana Szczechowicza, w której grał Zbigniew Boniek. Grałem przeciw Bońkowi. Jesienią przyszedłem do klubu i powiedziałem: „Ja mam maturę, idę na inne niż sportowe studia, »składałem buty«, nie gram w piłkę nożną”. Usłyszałem: „Jak to? Przecież ty masz szansę zagrać w reprezentacji Polski, możesz niedługo bronić u nas w pierwszej drużynie”.

W BKS-ie trenowałem jako junior z pierwszą drużyną, byłem też w szerokim składzie zespołu, który wtedy dwa razy walczył o ekstraklasę.

Nie dał się pan przekonać do zmiany decyzji?

Złożyłem papiery do szkoły teatralnej. Jak oni się dowiedzieli, że rezygnuję z piłki nożnej, bo mam maturę i idę do szkoły teatralnej, a nie na AWF, to kirownik w klubie, nie mając już argumentów, zapowietrzył się i powiedział: „Ale przecież ty się w telewizorze nie zmieścisz!”. Wyszło jednak na to, że siedzę w tej telewizji i się mieszczę już od 40 lat.

To skąd ta koszykówka.

Po rundzie jesiennej sezonu 1973/1974 „złożyłem buty”, a od stycznia grałem w koszykówkę w III lidze. Podpisałem zawodniczą licencję w BBTS-ie. Pamiętam wyjazd na mecze do Tychów, Sosnowca już w nowej hali przy Żeromskiego. Również na studiach grałem w koszykówkę (jest absolwentem Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie - red.).

©@

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połężę 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

JEDNOPOKOJOWE

CIECHOCINEK mieszkanie
34m², wykończone, 697685471

DOMY - SPRZEDAM

BORZECHOWO - dom 150m², stan surowy zamknięty, teren ogrodzony. Działka ma 1391 m². Bardzo dobra lokalizacja.
Telefon 697685471

STARA Kiszewa - dom w stanie surowym otwartym 75m², działka 1999m² Bd lokalizacja tel.606174725

DOMY - KUPIĘ

SKUP części nieruchomości, cała Polska, 518-503-404

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

BUDOWLANA

BORZECHOWO - działki z mediami i dobrą lokalizacją,
tel.697685471

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej placimy, całe pomorskie 514-514-610

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY: cieśla murarz malarz ocieplenia spawacz elektryk, 601-218-955.

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie; 517-744-487

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy turnusy 60+ wrzesień od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlećisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 24.09.2025 zmarł



Leszek Ekiert

Pogrzeb rozpocznie się w kaplicy na Gdańskim Srebrzysku
w poniedziałek 06.10.2026 o godzinie 13:30.

Pograżona w smutku Rodzina

REKLAMA

0011409810

dziennikbaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połężę 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zieleń, Gdańsk, Partyzantów 76**
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - ZDiZ w Sopocie** Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni**
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

Hit Ligi Mistrzów dla PSG. Brutalnie o Lewandowskim

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Nie był to wieczór Wojciecha Szczęsnego ani Roberta Lewandowskiego w hicie Barcelony z PSG w Lidze Mistrzów.

Hiszpańskie media po porażce 1:2 szczególnie krytycznie oceniły Roberta Lewandowskiego, który rozpoczął mecz na ławce rezerwowych, ustępując miejsca w jedenastce Ferranowi Torresowi.

Torres wyszedł w podstawowym składzie i już w 19. minucie otworzył wynik meczu. Lewandowski, jako jedyny Polak w Barcelonie, pozostał na ławce rezerwowych, a Wojciech Szczęsny zastępował w bramce kontuzjowanego Joana Garcíę. Mimo stracenia dwóch goli hiszpańskie media nie krytykowały Szczęsnego przesadnie. Dziennik „AS” podkreślił, że nie miał szans przy obu straconych bramkach. Dodano też, że miał dwie dobre interwencje – po strzale Achrafu Hakimiego i po uderzeniu Bradleya Barcoli – zwrócono przede wszystkim uwagę po przegranym 1:2 meczu z triumfatorami Ligi Mistrzów.

Według „El Mundo Deportivo” Polak „popęłił kilka błędów w grze nogami pod presją PSG, ale obronił dwa groźne strzały – jeden z rzutu wolnego, a drugi autorstwa Barcoli po indywidualnej akcji” – argumentowano. „Przy golach był praktycznie bez szans, choć mógł szybciej wyjść do przeciwnika, by skrócić kąt” – tłumaczono.

Lewy zjechany przez media

Gorsze recenzje zebrał Lewandowski, który w 72. minucie zmienił Rashforda. „Był całkowicie nieistotny, choć prawdą jest, że biorąc pod uwagę przebieg meczu,

był to dla niego najgorszy możliwy scenariusz” – ocenił „AS” kapitana reprezentacji.

„W meczu pełnym gry od bramki do bramki wszedł na boisko w momencie, gdy Barcelona nie miała już sił, by zepchnąć rywala do własnego pola karnego. Nie wydawało się to najodpowiedniejsze otoczenie dla snajpera, który tym bardziej błyszczy, im bliżej bramki przeciwnika gra jego drużyna” – dodał z kolei kataloński „Sport”.

„Przyszło mu grać niemal cały czas tyłem do bramki. Nie był w stanie wyciągnąć korzyści z żadnej akcji i nie miał okazji do oddania strzału” – zganił „Lewego” „El Mundo Deportivo”.

Barcelona w rozpoczętym sezonie ma na swoim koncie wygraną z Newcastle United (2:1) i porażkę z PSG (1:2). Parzyżanie zaś zwyciężyli w obu pierwszych meczach z Atalanta (4:0) i Dumą Katalonii.

Kochalski z czystym kontem

W pierwszej kolejce Karabach na Estadio da Luz sensacyjnie pokonał Benfikę Lizbona 3:2 odrabiając straty w końcówce. Po tym meczu zwolniony został trener Bruno Lage. Zastąpił go legendarny portugalski szkoleniowiec Jose Mourinho.

W środę Karabach od 28. minuty prowadził z FC Kopenhaga po голу Abdellaha Zoubira. Pod koniec drugiej połowy precyzyjnym strzałem z dystansu na 2:0 podwyższył Emmanuel Addai. Bramarz ekipy z Azerbejdżanu, Mateusz Kochalski – urodzony w Świdniku wychowanek Legii Warszawa – zachował czyste konto i zanotował kilka dobrych interwencji. Karabach jako jedna z sześciu drużyn ma 6 pkt po dwóch kolejkach Ligi Mistrzów. ©©



Robert Lewandowski wszedł na boisko w drugiej połowie i zebrał bardzo surowe recenzje od dziennikarzy

Zwolińska ze złotem w C1 MŚ w kajakarstwie górskim

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Klaudia Zwolińska zdobyła złoty medal w kanadyjkach jedynek (C1) na mistrzostwach świata w kajakarstwie górskim w australijskim Penrith.

26-letnia slalomistka z Nowego Sącza przed rokiem została wicemistrzynią olimpijską w K1, a w 2023 roku w tej specjalności miała brąz mistrzostw świata. W kanadyjkach nie odnosiła dotychczas większych sukcesów, np. była 17. w paryskich igrzyskach.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć. Złotego medalu w kanadyjce się chyba nie spodziewałam. Przyjechałam tu oczywiście walczyć o krążki, ale bardziej myślałam o K1 – przekazała Klaudia Zwolińska, cytowana przez Polski Związek Kajakowy.

Zwolińska, druga w półfinale, w wyścigu decydującym o medalach startowała jako przedostatnia. Pojechała fenomenalnie – aż o 4,39 wyprzedziła startującą pod flagą neutralną Rosjanę Alsu Minazową oraz o 4,49 Brazylijkę Anę Satilę. Tuż za podium uplasowała się brązowa medalistka olimpijska z Paryża, Amerykanka Evy Leibfarth, której do brązu zabrakło 0,11.

W Penrith Zwolińska była już 10. w próbie czasie w kon-



Srebrna medalistka olimpijska z Paryża Klaudia Zwolińska sięgnęła po złoty medal mistrzostw świata w kanadyjkach jedynek na mistrzostwach świata w Penrith

kurencji cross, wraz z kolegami zajęła 11. pozycję w drużynowej rywalizacji w K1

– Wiedziałam, że robię postępy w kanadyjce, ale nie aż tak! W półfinale oddałam znakomity bieg i nie spodziewałam się, że jestem w stanie go powtórzyć, a co dopiero urwać kilka sekund! Nie wiem, co się teraz dzieje, to dla mnie jakiś szok! – podkreśliła.

W piątek Kamila powalczy jeszcze medal w swojej koronnej konkurencji (do półfinału awansowała z dziewiątego miejsca w eliminacjach), a w sobotę wystąpi w crossie.

– Jak ja teraz pojadę to K1? Przecież nie wypada mi popłynąć gorzej! – powiedziała ze śmiechem.

Z kolei trener główny reprezentacji Polski w slalomie kajakowym Jakub Chojnowski przyznał, że dla niego wynik Zwolińskiej nie jest wielkim zaskoczeniem.

– Jest medalistką mistrzostw Europy i igrzysk europejskich w kanadyjce, więc nie można powiedzieć, że to niespodzianka. Jej przejazd był wybitny, bo w sporcie, gdzie rywalizujemy na cienkiej linii czasowej, sekunda

może dać różnicę dziesięciu miejsc, a Klaudia wygrywa o ponad cztery. Wielu trenerów i zawodników z zagranicy gratulowało tak fenomenalnego przejazdu – podkreślił.

W czwartek bardzo dobrze zaprezentował się także Kacper Sztuba, szósty w C1.

– Szóste miejsce w jego wykonaniu jest bardzo dobre. Po raz kolejny potwierdził, że jest w czołówce, bo w tym sezonie notował wszystkie finały na międzynarodowych imprezach, za co należą się wielkie brawa – dodał Chojnowski. ©©

W sobotę na Motoarenie w Toruniu Polacy zawalczą o pierwszy tytuł Speedway of Nations

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

W sobotę na Motoarenie w Toruniu odbędzie się finał drugiej edycji Speedway of Nations z udziałem reprezentacji Polski.

Faworyci, czyli drużyny Szwecji i Wielkiej Brytanii, wygrały wtorową rywalizację w półfinale speedway of Nations na toruńskiej Motoarenie. Pierwsi zdobyli 40 punktów, a drudzy zbierali 37 „oczek”.

W dodatkowym biegu o trzecie premiowane awansem do finału miejsce Łotysze wyraźnie pokonali Niemców. Dość długo w grze o trzecią lokatę byli Norwegowie, ale ostatecznie zajęli dopiero piąte miejsce. Słowenia i Włochy były tylko tłem.

W środę, w drugim półfinale na Motoarenie także nie było nie-



Bartosz Zmarzlik pojedzie po pierwszy tytuł SoN

spodzianek. Reprezentacje Australii i Danii wygrały rywalizację w cuglach.

Australijczycy zdobyli 41 punktów, a Duńczycy – 37 „oczek”.

W dodatkowym biegu o trzecie premiowane awansem do fi-

nału miejsce Czesi pokonali Ukraińców.

Francuzi, Finowie i Argentyni wyrażnie odstawali od najlepszych.

Polski zespół jako gospodarz imprezy ma zapewniony start w finale bez konieczności rywalizacji w półfinałach

Zawody Speedway of Nations w 2018 roku zastąpiły Drużynowy Puchar Świata. Rywalizacja jest zbliżona do turnieju par. W każdym zespole jest trzech zawodników, z których dwóch bierze udział w wyścigu.

W trakcie turnieju Speedway of Nations trener może dowolnie komponować parę. Rafał Dobrucki w tym roku postawił na najmocniejszy tercet: Bartosza Zmarzlika, Patryka Dudka i Piotra Pawlickiego, którzy będą reprezentowali Polskę w sobotnim finale.

Polacy jeszcze nigdy nie wygrali Speedway of Nations, ale Patryk Dudek ma już wprawę w przełamywaniu takich schematów. Nie tak dawno, jako pierwszy Polak, wygrał cykl Speedway Euro Championship. W połączeniu ze Zmarzlikiem ten duet sprawia wrażenie nie do pokonania na Motoarenie.

Zawody rozpoczną się o godzinie 19. Transmisję przeprowadzi Eurosport 2 i TTV.

Z kolei dziś w Speedway of Nations w Toruniu, w kategorii do lat 21, będą walczyć Maksymilian Pawełczak z Polonii Bydgoszcz, Damian Ratajczak z Falubazu Zielona Góra i Antoni Kawczyński z Pres Toruń. Polacy rywalizować będą z rówieśnikami z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Australii, Danii, Czech, Szwecji i Łotwy. Biało-Czerwoni będą bronić tytułu mistrzów świata juniorów. ©©

Święto w Słupsku, koszmar Lechii

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Gryf Słupsk zagra przed własną publicznością z mistrzami Polski, Lechem Poznań, w meczu 1/16 finału rozgrywek STS Pucharu Polski.

Arka Gdynia kontynuuje ekstraklasową ścieżkę w krajowym pucharze i zagra z Górnikiem Zabrze. Lechię Gdańsk czeka kolejny daleki wyjazd, tym razem do Niepołomic na mecz z Puszcą. Wreszcie II-ligowa Chojniczanka Chojnice zmierzy się ze Świtem Szczecin.

Na tym etapie krajowego pucharu grają już wszystkie najlepsze drużyny. Właśnie dołączyli także ci, którzy latem 2025 roku wywalczyli sobie przepustki do gry w fazie grupowej Ligi Konferencji, czyli Lech Poznań, Raków Częstochowa, Jagiellonia Białystok i Legia Warszawa.

Najniżej notowany sportowo w tym gronie jest zespół rezerw LKS-u Goczałkowice Zdrój. Drużyna Łukasza Piszczka występuje na co dzień w lidze okręgowej, czyli na szóstym szczeblu w Polsce.



Chojniczanka zagra ze Świttem i liczy na awans do kolejnej rundy

Tylko jeden poziom wyżej gra Gryf Słupsk, czyli IV-ligowiec z Pomorza. LKS dał w pierwszej rundzie Pucharu Polski pstryczka w nos wyżej notowanej Stali Stalowa Wola, a Gryf Polonii Warszawa.

A w następnej rundzie Gryf mierzyć się będzie z Lechem Poznań, czyli mistrzami Polski. W Słupsku przy Zielonej zapowiada się wielkie święto futbolu, a najprawdopodobniej bilety będą na wagę złota.

Niełatwe zadanie czeka też Arka Gdynia. Beniaminek PKO Ekstraklasy przy Olimpijskiej podejmie Górnika Zabrze, który w swoim składzie ma wielu doświadczonych piłkarzy.

- Nie oceniam, po prostu przyjmuję tę informację. Plussem to, że gramy u siebie, w domu. Minusem, że z zespołem z ekstraklasy, który pewnie będzie drużyną w górnej części tabeli. Ale to coś, co wydarzy się na koniec października. Najbar-



Będzie piłkarskie święto w Słupsku, bo Gryf gościć będzie mistrzów Polski

dziej szczęśliwy był działaniz, bo zrobią jedną robotę, a dwa mecze z Górnikiem mamy obok siebie. To tak pół żartem, pół serio - ocenił Dawid Szwarga, trener żółto-niebieskich.

II-ligowa Chojniczanka zagra przed własną publicznością przy Mickiewicza, gdzie stawi się Świt Szczecin, czyli zespół z jej klasy rozgrywkowej.

Nie spełniło się za to marzenie Johna Cravera, trenera Lechii, który mówił o nim po wy-

granym meczu z Pogonią Grodzisk Mazowiecki w Pruszkowie.

- Dajcie mi mecz w Gdańsku, bo ostatnio ciągle gramy na wyjazdach - mówił Carver z uśmiechem.

Daleki wyjazd czeka jednak zespół Lechii Gdańsk. Białozieloni w 1/16 finału Pucharu Polski zagrają w Niepołomicach z I-ligową Puszczą. Co ciekawe, to będzie już czwarte starcie Puszczy i Lechii w Niepołomicach w Pucharze Polski. Dwa

razy awansowała Puszcza, a raz Lechia.

- Dowiedziałem się już, że będzie to bardzo daleka podróż. Nie znałem do końca zasad losowania Pucharu Polski i potem się dowiedziałem, że z drużyną z niższej ligi zawsze gra się na wyjeździe. Znow w tej sytuacji widzę taki czas, że będziemy grać więcej meczów wyjazdowych - podsumował wyniki losowania trener John Carver.

Pary STS Pucharu Polski - 28-30 października 2025: Gryf Słupsk - Lech Poznań, Arka Gdynia - Górnik Zabrze, Chojniczanka Chojnice - Świt Szczecin, Puszcza Niepołomicze - Lechia Gdańsk, Olimpia Grudziądz - Śląsk Wrocław, Raków Częstochowa - Cracovia, LKS II Goczałkowice-Zdrój - Polonia Bytom, Legia Warszawa - Pogoń Szczecin, Avia Świdnik - Flota Świnoujście, Zawisza Bydgoszcz - GKS Wikielec, Znicz Pruszków - Korona Kielce, Odra Opole - Piast Gliwice, Widzew Łódź - Zagłębie Lubin, Hutnik Kraków - Wisła Kraków, ŁKS Łódź - GKS Katowice, Miedź Legnica - Jagiellonia Białystok.

©

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

0011407956

KS Polonia Paślęk: 75 lat tradycji i sukcesów

Nie trzeba być mistrzem olimpijskim, by cieszyć się sportem. Wystarczy pasja, regularność i właściwe wsparcie - a tego w KS Polonia Paślęk nigdy nie brakowało. Klub, który w styczniu świętował 75-lecie, wychowuje kolejne pokolenia młodych zawodników, specjalizując się przede wszystkim w szkoleniu z koszykówki i lekkiej atletyki. Dziś, dzięki programowi Sportowy ORLEN, ma jeszcze lepsze warunki, by szlifować talenty i rozwijać sportowców na najwyższym poziomie.



W sekcji lekkoatletycznej trenuje obecnie około 70 dzieci i nastolatków - od siedmiolatków po uczniów szkół średnich. Wielu z nich rozpoczynało przygodę z piłką nożną, ale szybko odkryło swoje miejsce w lekkiej atletyce. I to z imponującymi efektami - zawodnicy Polonii regularnie meldują się na podium krajowych i międzynarodowych zawodów. - Udało nam się awansować do rywalizacji centralnej, a nasi podopieczni zdobywają medale na najważniejszych imprezach. Choćby Artur Cytyła - oszczepnik, reprezentant kraju, 5-krotny

medalista mistrzostw Polski, w tym roku sięgnął po tytuł mistrza Polski Młodzieżowców - mówi Piotr Borysewicz, wiceprezes i trener klubu.

Medale, rekordy i powołania

Lista osiągnięć Polonii jest naprawdę długa. Zawodnicy wywalczyli już ponad 40 medali mistrzostw kraju w różnych kategoriach wiekowych, a wielu z nich powoływano do kadr wojewódzkich i narodowych. Urszula Jasińska została medalistką mistrzostw świata junierek w oszczepie, Patrycja Adamczyk ustanowiła rekord Polski w pięciobo-

ju, Kacper Oleszczuk został mistrzem Europy do lat 23 w rzucie oszczepem, a Milena Kamińska zapisała się w historii klubu najlepszym halowym wynikiem ALL-TIME na 400 metrów w kategorii U14. Regularnie zdobywa także medale mistrzostw województwa i zawodów ogólnopolskich.

Sukcesy przychodzą również w rywalizacji drużynowej - w 2025 roku zawodnicy klubu zdobyli tytuł Drużynowego Mistrza Województwa w lekkiej atletyce we wszystkich kategoriach wiekowych, co jest imponującym osiągnięciem. - Największą satysfakcję daje to, że ciężka praca

owocuje. Po wielu treningach zdobycie medalu na zawodach daje poczucie spełnienia - podkreśla Agata, specjalizująca się w biegach średnich i długich.

Atmosfera panująca w drużynie to kolejny atut klubu. - Jest świetnie. Wspólnie jeździmy na zawody, wspieramy się i stajemy się coraz bardziej samodzielni - opowiada Marcel, jeden z zawodników. Podobne obserwacje mają rodzice. - Widać, jak sport kształtuje charakter. Często dziewczyny słuchają trenerki bardziej niż mnie w domu - żartuje Damian Kamiński, tata dwóch zawodniczek.

Koszykówka - siła drużyny

Obok lekkoatletyki ważnym filarem Polonii jest koszykówka. Młodzieżowa drużyna klubu należy do czołówki województwa - regularnie staje na podium mistrzostw regionu i melduje się w finałach. - Wyniki są, bo od czterech lat ta grupa konsekwentnie utrzymuje się w ścisłej czołówce - zaznacza trener Krzysztof Kowal.

Koszykówka to nie tylko nauka techniki gry, ale też budowanie charakteru i odpowiedzialności. Wspólne treningi, turnieje i wyjazdy uczą współpracy, zasad fair play i pracy dla zespołu. - Najważniejsze, by młodzi zrozumieli, że koszykówka to gra drużynowa, a wynik jest efektem wspólnego wysiłku - dodaje trener.

Sportowy ORLEN - wsparcie, które ma znaczenie

Rozwój klubu nie byłby możliwy bez dodatkowych środków. Ogromną rolę odgrywa program Sportowy ORLEN, z którego Polonia Paślęk korzysta od tego roku. Dzięki niemu udało się zakupić nowoczesny sprzęt oraz zapewnić zawodnikom dostęp do specjalistów. - Zyskaliśmy bardzo dużo. Nowe

urządzenia pozwalają dokładniej analizować treningi. Kupiliśmy m.in. sprzęt do badania zakwaszenia, nieoceniony w przygotowaniach sprinterów i biegaczy długodystansowych. Dla mnie jako trenerki to wielkie wsparcie - wiem, kiedy zawodnik jest gotowy na większe obciążenia, a kiedy musi odpocząć. Planujemy też zajęcia z psychologiem i dietetykiem - mówi Magdalena Borysewicz.

Dzięki wsparciu ORLEN-u klub inwestuje nie tylko w sprzęt, lecz także w zdrowie i przygotowanie mentalne młodzieży. To daje solidne fundamenty pod dalsze sukcesy i wychowywanie kolejnych medalistów, którzy będą rozślawiać Paślęk i Polskę.

Tradycja, pasja i przyszłość

Po 75 latach działalności KS Polonia Paślęk wciąż rozwija skrzydła. Dzięki zaangażowaniu trenerów, rodziców i zawodników oraz wsparciu programu Sportowy ORLEN klub z optymizmem patrzy w przyszłość. To właśnie tu młodzi sportowcy każdego dnia stawiają kolejne kroki na drodze do swoich marzeń - a medale, rekordy i sukcesy są tylko pięknym dodatkiem do pasji, którą dzielą.

SPORT

www.sportowy24.pl

Lechia musi znaleźć dziś sposób

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk zagra dziś z beniaminkiem PKO Ekstraklasy, Wisłą Płock. Biało-zieloni chcą wygrać przed przerwą reprezentacyjną i odbić się od dna ligowej tabeli.

Iwan Żelizko, Matus Vojtko, Camilo Mena, Miłosz Kałahur, Bujar Pllana, Anton Carenko, Bohdan Sarnawskij - teoretycznie tak może wyglądać lista nieobecnych w Lechii Gdańsk na mecz z Wisłą Płock. Sarnawskij i Carenko na pewno się nie wyleczą, a Kałahur i Mena będą pauzować za kartki.

Jeśli chodzi o pozostałych zawodników to są mniej lub większe szanse, że będą gotowi do gry. Każdy kolejny zdrowy zawodnik jest drużynie bardzo potrzebny na spotkanie z beniaminkiem z Płocka.

- Mamy pewne problemy zdrowotne i zawodników, którzy wracają po kontuzjach. Jeśli chodzi o Iwana Żelizkę, to jest lepiej niż w ostatnim tygodniu, ale jeśli nie będzie na sto procent gotowy, to nie podejmujemy ryzyka. Wziął udział

w ostatnich treningach ale jeśli nie będzie gotowy, to nawet nie usiadzie na ławce - jasno określił sytuację John Carver, trener Lechii.

Z pewnością dużym osłabieniem dla zespołu z Gdańska będzie brak Camilo Meny. Skrzydłowy w tym sezonie strzelił trzy gole i dołożył dwie asysty. Jest z pewnością w dobrej formie i to ważna postać w ofensywnej układance szkoleniowców biało-zielonych. Mena w Kielcach dostał kartkę akurat za faul, ale wcześniej można było mieć zastrzeżenia do jego zachowania na boisku, co również skutkowało upomnieniami, a w efekcie pauzą w spotkaniu z zespołem z Płocka.

- Jeśli traci się takiego piłkarza jak Mena, to jest to rozczarowanie, bo to zawodnik, który dużo daje zespołowi. To z kolei będzie szansa dla kogoś innego, żeby się pokazać. Wierzę w ten zespół i w piłkarzy, których mamy. Rozmawiałem z Camilo o kartkach i na pewno musi poprawić swoją dyscyplinę. To młody zawodnik i mam nadzieję, że odrobi lekcję. Jest ważną postacią w drużynie i bardzo go potrzebujemy - nie ukrywa trener Carver.

PIŁKA NOŻNA

W weekend kolejne mecze o punkty rozegrają zespoły czwartej ligi na Pomorzu.

Program 10. kolejki w IV lidze: Gryf Wejherowo - Grom Nowy Staw (sobota, godz. 13), Gedania Gdańsk - KP Starogard Gdański (sobota, godz. 11), Jaguar Gdańsk - Stolem Gniewino (sobota, godz. 11), Bytovia Bytów - Anioły Garczegrze (sobota, godz. 15.30), Powiśle Dzierzgoń - Gryf Słupsk (sobota, godz. 15), Czarni Pruszcz Gdański - Chojniczanka II Chojnice (sobota, godz. 12),

Pomezania Malbork - Arka II Gdynia (sobota, godz. 16), Wierzyca Pelplin - Pogoń Lębork (sobota, godz. 15), Piast Czerwony - Sokół Bożepole Wielkie (sobota, godz. 14).

(stan)

PIŁKA NOŻNA

Ośma kolejka odbędzie się w Orlen Ekstralidze.

Mecze piłkarek z Pomorza: Pogoń Dekpol Tczew - Rekord Bielsko-Biała (sobota, godz. 13), Stomilanka Olsztyn - AP Orlen Gdańsk (niedziela, godz. 13). (stan)



Piłkarze Lechii Gdańsk muszą być skoncentrowani w meczu z beniaminkiem z Płocka

Wisła Płock będzie dla biało-zielonych wymagającym rywalem. To beniaminek PKO Ekstraklasy, który jednak rewelacyjnie zaczął sezon i był nawet liderem tabeli. Teraz ma jednak lekki kryzys, bo w trzech ostatnich meczach zdobyła tylko jeden punkt i spadła na piąte miejsce, a także odpadła z STS

Pucharu Polski po porażce z GKS-em Katowice. Wszystko zaczęło się od porażki z Arką w Gdyni, a w tamtym spotkaniu kontuzji doznał najlepszy strzelec zespołu z Płocka, Łukasz Sekulski.

- Wisła to dobry zespół nawet pomimo problemów kadrowych. Wiem, że jest na pią-

tym miejscu, ale to wciąż bardzo dobra drużyna. Mają kilka indywidualności, na które musimy uważać - przyznaje trener biało-zielonych.

Lechia z kolei musi szybko poprawić grę w defensywie, aby ta nie wyglądała tak, jak na początku sezonu. W Kielcach znowu przytrafiły się

proste błędy, które okazały się bardzo kosztowne. Trenerzy z drużyną pracują nad tym, aby takie sytuacje eliminować. Skład formacji defensywnej na pewno się zmieni w piątkowym spotkaniu, bo za kartki pauzuje Miłosz Kałahur. Jeśli będzie zdrowy Matus Vojtko, to wróci do składu, ale jeśli nie, to zagra Tomasz Wójtkowicz. Z kolei nowym partnerem Mateja Rodina na środku obrony, także jeśli zdrowie pozwoli, może zostać Bujar Pllana. Może to będzie dobre rozwiązanie.

- Jestem zaniepokojony tym, w jaki sposób traciliśmy bramki w Kielcach. Jesteśmy zdesperowani, aby zachować czyste konto w meczu z Wisłą. Kiedy na spokojnie patrzymy na statystyki, to znów mieliśmy większe posiadanie piłki niż rywal, a ostatnich 15 minut graliśmy o jednego zawodnika mniej. Chcemy wygrać mecz z Wisłą Płock i musimy znaleźć sposób, żeby to zrobić - podkreśla trener Carver.

Mecz Lechii Gdańsk z Wisłą Płock na stadionie Polsat Plus Arena rozpocznie się dziś o godz. 18.00. Transmisja w Canal+ Sport 3.

©P

Różowy mecz w Gdyni. Sportowa złość ma uskrzydlić piłkarzy Arki

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Pokazać sportową złość po bardzo złym meczu w Lubinie zamierzają piłkarze gdyńskiej Arki. W sobotę godz. 20.15 przy Olimpijskiej stawia się Cracovia.

Arka w sportowym dołku, Cracovia na przeciwległym biegunie, jeśli chodzi o pozycję w tabeli i nastroje. Tak można najprościej zapowiedzieć mecz drużyn, których kibice od lat wspólnie cieszą się piłką nożną. Na zielonej murawie nikt nie będzie odpuszczał, a już na pewno nie żółto-niebiescy, którzy po ostatniej wpadce mają coś do udowodnienia swoim sympatykom.

Na gdyńskim zespole ciąży katastrofalne 45 minut ostatniego meczu ligowego w Lubinie z Zagłębiem. Liczba prostych błędów sprawiła, że Arka

przegrała 0:4. Po 10 kolejkach ma 9 punktów w dorobku, a to daje jej pozycję tuż nad strefą spadkową PKO Ekstraklasy.

- Bez względu na to, z kim byśmy nie grali teraz, to uważam, że najważniejszą cechą sportowca jest, aby umieć zareagować na porażkę. Żeby mieć sportową złość w sobie. Żeby nie zgadzać się na to, jak zaprezentowaliśmy się w Lubinie. Myślę, że taka reakcja będzie widoczna w naszej grze. Oprócz tego dołożymy rzeczy, nad którymi teraz pracowaliśmy, czyli dobrą grę w ataku. Na koniec wygramy w Gdyni - zapowiada Dawid Szwarga, trener Arki.

Szkoleniowiec miał wyciągnąć konsekwencje po kiepskim występie piłkarzy. Przyznał, że wszystko zostało już wyjaśnione.

- Najważniejszą rzeczą dla mnie było, aby na gorąco po meczu usłyszeć, co piłkarze mają do powiedzenia. Miałem



Arka Gdynia musi być powtarzalna, a wtedy kibice będą spokojniejsi o jej ligowy byt

przeświadczenie, że mamy już pewną powtarzalność. A tutaj praktycznie po 45 minutach było po meczu. Drugim elementem był szereg rozmów indywidualnych, czy to z radą drużyny, czy z zawodnikami, którzy pojawili się po przerwie. Zmiana w przerwie lub przed przerwą może być spowodowana tym, że ktoś nie wygląda dobrze fizycznie lub pod kątem odpowiedniego nastawienia. Nie funkcjonowały pewne rzeczy i chciałem, żeby zawodnicy to usłyszeli - przekonuje szkoleniowiec zespołu z Gdyni.

Mecz Arki z Cracovią zobaczy z trybun co najmniej 8 tysięcy widzów. Klub przygotował dla nich wiele atrakcji, w związku z profilaktyką zdrowotną.

Nie ma wątpliwości, że przy Olimpijskiej Cracovia nie będzie ułatwiać Arce zadania. „Pasy” prezentują się bardzo dobrze na początku rozgrywek.

Punktują z każdą drużyną z dolnych rejonów tabeli. W ataku mają lidera w osobie Filipa Stojilkovicia, który strzelił już sześć goli.

- Kontynuujemy akcję i łączymy sport z edukacją. Zawodnicy zagrają w okolicznościowych koszulkach, które od piątku będą do zakupu w sklepie. Jako klub chcemy, aby nasze partnerstwo wykraczało poza boisko. Energa jest naszym partnerem, dla którego idea różowego października jest bliska. Przed trybuną „Górka” BadaBus, czyli mobilny gabinet, w którym będzie można zrobić USG piersi i tarczycy. Na klubowej stronie będzie informacja, jak się można zapisać. Będzie można zbadać także skład ciała i tutaj zapisy nie będą obowiązywać. Zapraszamy do skorzystania z tych badań - zachęca Tomasz Rybiński, rzecznik prasowy Arki Gdyni.

©P